№ 52. Rok XXXIII.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

PISMO ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

PRENUMERATA WYNOSI:	Adres Redakcyi i Administracyi:	PRENUMERATA WYNOSI:
W Warszawie Kwartalnie. . . . . . . rs. 1. Za odnoszenie do domu kwartalnie kop. 10. Na prowincyi Kwartalnie. . . . . . . rs. 1 kop. 25.	*Chmielna Nr 26.* Warszawa, dnia 14 (26) Grudnia 1891 r.	We Lwowie i Krakowie Kwartalnie złr. 2. Na prowincyi złr. 2 cent. 30. W Poznaniu Kwartalnie marek 3 Na prowincyi marek 3 pf. 50.

OD REDAKCYI.

Przypominamy odnowienie prenumeraty na kwartał pierwszy roku 1892-go. Warunki prenumeraty pozostają te same, a mianowicie:

W Warszawie kwartalnie rs. 1.

Na prowincyi z przesyłką pocztową:

kwartalnie rs. 1 kop. 25.
półrocznie rs. 2 kop. 50.
rocznie rs. 5.

Adres: Emil Skiwski, redaktor i wydawca „Tygodnika mód i powieści" w Warszawie, ulica Chmielna Nr 26.

Upraszamy Szanownych Prenumeratorów o nadsyłanie kartki adresowej z opaski przy odnawianiu prenumeraty, jak również przy wszelkich reklamacyach.

Za zmianę adresu kop. 15.

☞ Zwraca się uwagę, iż ***tylko*** drobne kwoty pieniężne przyjmujemy markami pocztowemi, których nie należy przyklejać do listów.

FOLWARK DO SPRZEDANIA.

OBRAZEK

PRZEZ

KLEMENSA JUNOSZĘ.

(Dokończenie.)

Pan Michał odezwał się:

— Moja pani trochę przesadza. Mieszkamy tu już kilka tygodni...

— I dopiero nas raz okradli — rzekła pani domu. — Brakuje tylko, żeby nas raz zabili i wszystko będzie w porządku.

— Niema co, kochana żono, ślicznie zachęcasz pana Stanisława do kupna Marysina!

— Przepraszam pana—rzekł młody człowiek, — dla mnie zachęta zbyteczna, z opowiadania mego ojczyma folwark ten znam już wybornie i, szczerze mówiąc, przyjechałem ze stanowczym zamiarem nabycia go. Jeżeli pan dobrodziej zechce cokolwiek warunki złagodzić, możemy jutro rzecz skończyć. Raniutko obejrzę pola; długo to nie potrwa, bo przestrzeń nieduża.

— Czy pan Dziwirejko nie zniechęcał pana do kupna?

— Przeciwnie, zachęcał mnie bardzo.

— Tego nie rozumiem, bo gdy tu był i oglądał folwark, wyrażał się o nim bardzo niepochlebnie wprost mówił, że jest to najszkaradniejszy kawałek ziemi, jaki widział w swem życiu.

— Ojczym mój jest zacności człowiek, ale trochę dziwak. Zamiar kupna dla mnie takiego mająteczku jak Marysin jest przedewszystkiem jego własnym pomysłem, na który ja się zgodziłem dopiero po pewnej dyskusyi, gdy przekonał mnie, że ma słuszność.

— Jakaż tu może być słuszność, albo nie? Podoba mi się majątek, to go nabywam, nie, to nie nabywam i po wszystkiem.

— A jednak było o czem dyskutować. Ja, ukończywszy praktykę gospodarską, postanowiłem wyjechać do Ameryki i tam dorabiać się. Nęciły mnie lasy ręką ludzką nietknięte, życie trudne, praca wielka, karczunki. Z zamiarami swojemi zwierzyłem się matce i ojczymowi. Matka, jak matka, zalała się łzami i wprost powiedziała, że mnie z domu za żadne skarby nie puści. Ojciec uznał, że projekt jest godzien zastanowienia się i namysłu. Młody człowiek powinien, według jego zdania, przejść twardą szkołę życia i im trudniejsze ma początki, tem lepiej dla niego w przyszłości. Bardzo mu byłem wdzięczny za poparcie i nie traciłem nadziei, że we dwóch potrafimy matkę przekonać. Rozmawialiśmy często w tym przedmiocie, sprowadziłem książki opisujące świat nowy, zbierałem wszelkie potrzebne informacye i byłem najmocniej przekonany, że zanim upłynie pół roku, będę za oceanem...

— Cóż stanęło na przeszkodzie? — spytała panna Jadwiga.

— Ojczym.

— Przecież zgadzał się.

— Zapewne, tylko zrobił mi bardzo słuszną uwagę, że u nas, na miejscu, jest jeszcze dużo pól zaniedbanych, dużo nieużytecznych przestrzeni wymagających kultury i że kto czuje w sobie siłę, powinien ją przedewszystkiem tu na miejscu zużytkować. Poco masz szukać Ameryki, mówił, gospodaruj tu, na piaskach, na bagnach, siej i sadź lasy, podnoś kulturę, a będziesz miał nagrodę moralną w tem przekonaniu, żeś siły swoje, nakłady i zdolności dla swoich zużytkował.

— Dobrze powiedział, bardzo dobrze! — rzekł pan Michał.

— Naturalnie takim argumentom nie mogłem odmówić słuszności. Ojczym, nic nie mówiąc, dokąd się udaje, odjechał na jakiś czas z domu. Powróciwszy, zawołał mnie do siebie i rzekł: No, winszuję! znalazłem ci taką Amerykę, o jakiej nie marzyłeś zapewne. Jedź i Marysin kupuj, roboty ci tam nie zbraknie na długie lata. Powtarzam własne jego słowa: Panu Michałowi dobrodziejowi załącz moje uszanowanie, pani dobrodziejki rączki ucałuj, pannie Jadwidze pokłoń się, a proś niech nie wspominają źle starego niedźwiedzia Dziwirejkę.

— Wspominać go zawsze będziemy jaknajlepiej — rzekł pan Michał. — Pan Dziwirejko na to zasługuje, szorstki trochę, ale szczery człowiek.

— Jeszcze na odjezdnem mówił do mnie, żeby państwu zostawić mieszkanie i ogród do jesieni, czy dokąd państwo zechcą.

— A gdzieżby pan się pomieścił w takim razie? — spytała pani Michałowa.

— Mówił mi ojczym, że są dwa bardzo dobre pokoiki w czworaku.

— W jakim czworaku? — spytała pani.

— To widzisz duszko — pośpieszył objaśnić pan Michał,—w tym budynku, w którym mieszka Walenty.

— I panby tam chciał mieszkać?

— Jeżeli tylko są cztery ściany i dach, to już mieszkanie możliwe. Zresztą gospodarz w porze letniej gościem tylko jest w domu.

— Ależ my takiej ofiary od pana przyjąć nie możemy!

— Bardzo mi to przykro, lecz w takim razie musiałbym odstąpić od kupna Marysina.

— A to dlaczego?

— Ojczym wyraźnie mi powiedział, jakie są warunki kupna, i zobowiązał mnie, żebym wszystkie najpunktualniej wypełnił. Muszę się do tego zastosować.

— Pan Dziwirejko jest dziwny człowiek.

— Podzielam najzupełniej to zdanie, jest dziwak, ale ma bardzo zacny charakter, á jego słowność weszła w okolicy w przysłowie.

Rozmowa potoczyła się żwawo o rozmaitych przedmiotach, czas biegł jak na skrzydłach; pani Michałowa była bardzo kontenta, że ma w tej chwili obronę, i już nie lękała się napadu złoczyńców, panna Jadwiga zaś, obserwując bacznie młodego człowieka, spostrzegła że jest ładny i robi bardzo sympatyczne wrażenie.

Walenty powrócił, niezadługo zjawili się też Mikołaj i parobcy. Poszukiwania ich były bezowocne, złodziej przepadł bez śladu.

Był już jasny dzień, kiedy pan Stanisław powiedział uprzejmym gospodarzom „dobranoc."

Nie zajął pokoiku, który przygotowano dla niego, i nie kładł się spać, lecz wraz z Walentym udał się w pole, aby je obejrzeć; po powrocie wydał dyspozycye, rozdzielił robotę i małą tę maszynkę gospodarską puścił w ruch właściwy.

Walenty przypatrywał się młodemu człowiekowi uważnie, a przyszedłszy do domu na śniadanie, rzekł do żony:

— Ten pan zdaje się nie najgorszy, ale spać nie da; będzie swego pilnował jak oka w głowie. Nie dorobisz się przy nim.

Po śniadaniu pan Michał z panem Stanisławem pojechali do Warszawy, zrobili kontrakt i wieczorem powrócili do Marysina.

. . . .

Upłynęło dwa lata. Był dzień pogodny, upalny, rozpoczynano żniwo żyta. Pani Michałowa z Jadwinią siedziały na ganku, pod obszerną werandą; właśnie nakrywano stół do obiadu.

— Dziwna rzecz — odezwała się pani Michałowa, — jak ojciec twój nabrał zamiłowania do gospodarstwa; ani chwili nie posiedzi w domu, tylko, gdy przyjdzie lato, odkąd w Marysinie mieszkamy, włóczy się po polach jak Walenty.

— Obchodzi widać ojczulka nasze gospodarstwo.

— Nie przeczę, bo i mnie ono obchodzi, ale zdaje mi się, że ojciec się zakochał na starość.

— Co też mama mówi? w kim?

— A w twoim Stasiu, moja kochana.

— Nic dziwnego, mamo, ktoby mego męża nie kochał?!

Tegoż dnia po południu przyjechał Dziwirejko. Zwiedził szczegółowo gospodarstwo, pochwalił pasierba za energię, za pracę, za ulepszenia jakie porobił.

— Panie Michale dobrodzieju — rzekł, gdy się cała rodzina zgromadziła na ganku,— możemy być o swoje dzieci spokojni. Staś gospodarz dobry, on nie zginie, dorobi się. Ha! ha! mądry chłopak z niego. Marysin kupił, pieniądze napowrót odebrał i jeszcze taką śliczną żoneczkę dostał. Ha! ha! ja stary gospodarz, na majątkach się znam, kupno każde przeprowadzę porządnie, ale takiej tranzakcyi nie potrafiłbym dokonać.

KRONIKA
działalności kobiecej.

W ostatnim miesiącu kilka pism polskich poruszyło sprawę wykształcenia niewieściego. Streszczać zdania ich, dla braku miejsca, nie możemy. Zaznaczamy jednak, iż mówiąc każde o innym przedmiocie, doszły wszystkie do tego samego wyniku, a mianowicie do wniosku, że inteligencya i wykształcenie stały się dziś nieodzowną potrzebą w życiu kobiety.

Podczas też gdy „Głos" maluje, w satyrycznej korespondencyi, los żony małego urzędnika w małem miasteczku, los, w którym wyższy poziom umysłowy mógłby stanowić jedyną deskę ratunku; podczas gdy „Przegląd," oceniając dział kobiecy na wystawie szkiców, zarzuca mu brak gruntownej nauki od lat młodych, ludzie dobrej woli starają się brakom tym zaradzić.

Pamiętni zaś, iż waga mózgu niewieściego nie ma nic wspólnego z jego zdolnościami, jak to słusznie przypomina „Prawda," usiłują ułatwić kobietom kształcenie się, zarówno zawodowe, jak ogólne.

W tym ostatnim kierunku, ważnym krokiem naprzód, będzie kurs przygotowawczy, otwierany z dniem 2 Stycznia w Krakowie przez p. Maryę Serwatowską. Znana ta kierowniczka 8-io klasowego zakładu naukowego, chcąc uprzystępnić kobietom zdawanie egzaminu dojrzałości, a tem samem umożliwić im wstęp do uniwersytetów austryackich, próbuje zorganizować stosowne wykłady pod wodzą profesorów gimnazyalnych. Powodzenie projektu tego zależy od liczby uczennic, które znajdą tu, oprócz ułatwień wszelkich, oszczędność sił, czasu i kosztów, na prywatną naukę ponoszonych.

Projekt ten schodzi się z odezwą „Świata," który puka do wrót wszechnicy Jagiellońskiej w nadziei, iż otworzą się one przed żądnemi wiedzy kobietami. Poco studentki polskie mają po Paryżach, Bernach i Zurichach szukać laurów, poco walczyć wśród obcych, gdy istnem błogosławieństwem dla nich byłaby nauka u swoich, a mury tego typowo cichego uniwersyteckiego miasta zdają się stworzone da cichej również pracy nowicyuszek nauki.

Że panie nasze zasługują na to ustępstwo, dowodem Zofia z Poznańskich Daszyńska, która otrzymała świeżo stopień doktora filozofii na uniwersytecie w Zurichu. Znana w świecie naukowym ze swych prac na polu ekonomii i statystyki, oraz ze współpracownictwa w pismach tutejszych, nowa doktorka jest przykładem, przemawiającym silnie za otwieraniem w kraju wyższych zakładów naukowych niewieścich.

Przypatrzmy się, jak rzeczy te postępują szybko za oceanem. Oto świeżo p. Lelard Standford, kobieta wielkiej fortuny i szlachetnego serca, postanowiła wznieść specyalne liceum i uniwersytet dla dziewcząt w Kalifornii.

Przekonawszy się wszakże, że wykształcenie klasyczne nie daje chleba, w zarządzie bowiem jednej z dróg żelaznych, należących do jej męża, znalazła pięciu niższych urzędników z dyplomami uniwersyteckiemi, mrs. Standford postanowiła zmienić program nauk dla kobiet.

W tym celu z fundowanego dla siebie liceum wypędza języki grecki i łaciński. Obok bardzo rozległego humanitarnego wykształcenia, kładzie nacisk główny na matematykę, mechanikę i przeróżne specyalne, ku przemysłowi zastosowane, gałęzie wiedzy.

Zakład w Palo Alto nie wyklucza mężczyzn. Studentki i studenci zajmować tu będą osobne domki, z których każdy na 20 osób jest obliczony, wszystkie zaś zostały położone w takiej odległości od siebie, aby nie utrudniać życia towarzyskiego i koleżeńskiego między przedstawicielami płci obydwóch.

Wobec podobnej równości praw nic dziwnego, iż miss Minerwa Parker, młoda architektka z Filadelfii, ukończywszy budowę potężnych fabryk, otrzymała kontrakt na wzniesienie wielkiego klubu (New-Century Club), który ma być miejscem zabaw i narad najznaczniejszych stowarzyszeń niewieścich amerykańskich.

Z kraju jednak olbrzymich projektów i wielkich czynów wróćmy do skromniejszej w żądaniach swych Europy.

Oto w ubiegłym roku, akademią malarską Juliana w Paryżu, szkołę surową, wsławioną świeżo pamiętnikami Maryi Baskirczew, ukończyły między innemi Marya Szulcówna, Janina Najewska i Marya Berezińska. Patent Juliana, to nie czcze bawidło, lecz dowód studyów mozolnych a gruntownych, studyów, przy których wybitniejsze uczen-

nice, pracując po 14 godzin na dobę, dobijają się bądź to sławy i miejsca zaszczytnego w Salonie paryzkim, bądź też — jak wspomniana powyżej Marya B., wieńca laurowego i śmierci z wycieńczenia sił żywotnych.

Laur złożony w takich warunkach na trumnie to nowy dowód ukochania i zapału, jaki kobiety do wiedzy wnoszą. Czy słusznie więc zarzucano im gonienie za chlebem, za karyerą wyłącznie?

Sądzę iż pierwiastek idealizmu w naturze ich jest tak silny, że potrafią go one wznieść nawet do szkoły praktycznego gospodarstwa i kucharek, jaką p. Wanda Kasprzycka zamierza otworzyć u nas.

W tym celu ma być najpierw założony pod Warszawą folwark, wzorowemu gospodarstwu niewieściemu poświęcony. Kurs trwać tu będzie ośm miesięcy, opłata wyniesie 75 i 50 rs., przyczem 10 procent uczennic będzie przyjmowanych bezpłatnie.

Według programu, kurs ma obejmować: kucharstwo, hodowlę drobiu i trzody chlewnej, umiejętność przyrządzania konserwów i wędlin, znajomość prania, prasowania, szycia bielizny i wyrobu nabiału. Zakład to nader potrzebny, dosyć mamy bowiem, co prawda, amatorek-gospodyń. Czas, aby gałęź ta, będąca podstawą dobrobytu rodziny, traktowana była poważnie i gruntownie. Jeżeli bowiem taki uniwersytet zurichski ogłosił w tych dniach, iż pozwala kobietom ubiegać się o posady decentów, jeżeli doktorce Emil Kempin naznaczył wykład próbny z prawa rzymskiego, angielskiego i amerykańskiego, by na podstawie lekcyi tej udzielić jej docentury, to dowód, iż świat zaczyna wierzyć w gruntowność kobiet. Dlaczegóż więc gruntowność ta ma w gospodarstwie tylko być na amatorskiem niedołęztwie opartą?

...oro wreszcie mówimy dziś o pojedynczych zdobyczach na polu pracy niewieściej, zaznaczyć wypada, iż bezrobocie męzkie nowy przed niemi otworzyło zawód. Gdy bowiem w Niemczech ogłoszono ogólny strejk zecerski, drukarnie większe, nie chcąc zawieszać wydawnictw, zmuszone były postawić przy kasztach kobiety.

Pracują one bardzo sumiennie, lecz, jak stwierdzają miejscowe pisma, powolniej od męzkich swych kolegów.

Że im na tej zasadzie obniżono zaraz wynagrodzenie, to rzecz, która się sama przez się rozumie.

Ciekawym jednak będzie faktem, czy wmiarę pozyskiwanej wprawy, cena pracy ich podniesioną zostanie?

W obecnej wreszcie chwili należałoby wspomnieć dzieła piśmiennicze, jakie pióra kobiece przygotowały, jako podarek gwiazdkowy dla dzieci i młodzieży. Ponieważ jednak ilość ich przewyższa już ramy niniejszej kroniki, przechodząc w dziedzinę sprawozdań literackich, pozwolę więc sobie wymienić jedną tylko książkę i to tłómaczoną. Jest nią praca Arabelli Buckley pod tytułem „Przez szkła czarodzieja." Same nazwy tytułów, jak: „Szkła czarodziejskie. Dzieje życia mchów i porostów. Dzieje potoku lawy. Godzina ze słońcem. Wieczór pośród gwiazd. Drobne istoty z malutkiego oceanu" i t. d., wskażą dostatecznie, o co nam chodzi. Oto książka ta, zamiast barwnych baśni, rozbudzających wyobraźnię tylko, niesie młodym umysłom prawdy przyrodnicze przez kobietę skreślone. „Wiadomości podanych w każdym wykładzie — jak mówi autorka — starczy zaledwie do tego, aby obudzić w czytelniku chęć dowiedzenia się czegoś więcej."

Wzgląd ten właśnie powinien — jak sądzę, — bardziej pracę tę polecić niż gwiazdkowe baśni o zaklętych królewiczach i księżniczkach, nad powieści wreszcie, których i tak panienki nasze zbyt wiele pochłaniają.

Anatol Krzyżanowski.

ODCZYTY.

Przedostatnim ogniwem łańcucha, którym nasi popularyzatorzy złączyli szersze koło publiczności z najnowszemi wynikami wiedzy przyrodniczej, był odczyt p. Władysława Natansona, osnuty na tle zjawisk termicznych, a zatytułowany „o temperaturze."

Istotę tej siły, którą uwarunkowują się procesy życiowe roślin i zwierząt, jednej z najpotężniejszych sprężyn, poruszających mechanizmem zjawisk natury wznoszącej w obłoki kropelki wody i osadzającej je w postaci lodowców olbrzymich, zawieszonych na szczytach gór, by ztamtąd znowu wysyłać strumienie i fale rzek i oddawać je na usługi ludzkości, istotę siły tej, co rozgrzewając w rozmaitym stopniu warstwy atmosfery, tworzy to lazurowe niebo południowych, krain, to dzikie śniegi pustyń przybiegunowych ściśle określiły dopiero najnowsze badania fizyków i zaliczyły ją do rzędu sił, podpadających pod kategoryą ruchu falistego najmniejszych cząteczek materyi (atomów).

Ponieważ najdelikatniejsze paluszki nie są wstanie oznaczyć dokładnie stopnia siły ciepła, gdyż niema w nich dostatecznie wyrobionego zmysłu nadającego się do tego celu, a zadanie to nastręcza się prawie na każdym kroku i od rozwiązania jego zależne są najrozmaitsze praktyczne problemata, przeto, ze względu na te przyczyny, prelegent zapoznał na wstępie andytoryum z teoryą ważniejszych zjawisk wywoływanych ciepłem (z rozszerzalnością, przewodnictwem ciepła) i przeszedł do mierzenia temperatury.

Temperaturą nazywamy wahania się ciepła danego ciała, wyrażające się w podnoszeniu lub spadaniu, a najprostszem narzędziem, służącem do oznaczenia termometrze, jest powszechnie znany ciepłomierz, którego rtęć, rozszerzając się lub kurcząc, stosownie do stopnia ciepła, wskazuje ją na skali termometru.

Poziomem, od którego zaczynają się liczyć stopnie ciepła, jest temperatura, jaką posiada woda zamarzająca, lub topniejący śnieg, co właśnie oznacza się na temperaturze zerem. Drugim punktem stałym termometru jest ciepło pary wody wrzącej, co się oznacza cyframi 80, 100 lub 180, stosownie do tego, czy ciepłostan rachuje się na ciepłomierzu Réaumura, Celsyusza lub Fahrenheita.

Ponieważ topniejący śnieg i marznąca woda posiadają zawsze jednakowy stopień ciepła, przeto zera wszystkich termometrów, a rownież i stopnie wyższego poziomu, są ilościami stałemi.

Dalej szanowny prelegent zapoznał słuchaczów z minimalną temperaturą, to jest z bezwzględnem zerem.

Ciepło jest wynikiem drgań atomów. Zero naszego termometru oznacza taki stan ciepła, przy którym atomy ciała wykonywają jeszcze pewne drgania; zero to jest tylko względnem. Podobnie jak bezwzględny poziom morza liczy się od centrum ziemi, tak również temperatura bezwzględna w nauce rachuje się od tego bezwzględnego zera, przy którem atomy ciał są w zupełnym spoczynku; otóż takie bezwzględne zero leży poniżej zera naszego termometru o 273 stopnie; taką temperaturę posiadać mogą międzyplanetarne przestrzenie, lecz praktyka tak nizkiej temperatury nie zna.

Zaznaczywszy jeszcze kilka fundamentalnych pojęć z termodynamiki i wyraziwszy nadzieję, że myśląca ludzkość rozwiąże niebawem kilka zadań tyczących się teoryi ciepła, prelegent opuścił katedrę, żegnany sutemi oklaskami.

* * *

O odczycie doktora Fabiana, który prelekcyą o mózgu rozpoczął, ale jej podwakroć z przyczyny zasłabnięcia skończyć nie mógł, rzecz odkładamy do czasu, w którym szanowny prelegent do tego przedmiotu powróci, co zapewne nastąpi przy pierwszej lepszej okazyi.

Z DZIEDZINY NAUKI I WYNALAZKÓW.

Ryba oddychająca płucami i odbywająca sen letni. — Sztuczne sprowadzanie deszczu. — Szybkość pociągów pośpiesznych. — Wywóz herbaty z Chin. — Fonograf jako środek wychowawczy.

(Dokończenie.)

Od samych początków swojej historyi człowiek toczy walkę z przyrodą i wmiarę jak coraz lepiej poznaje jej siły i prawa niemi rządzące, usiłuje z coraz lepszym skutkiem zaprzęgać je do swojej służby i wyzyskiwać na swoję korzyść.

Zapomina on przytem niekiedy, że środki jego działania są jeszcze w pewnych kierunkach bardzo ograniczone i wcale nieodpowiednie założonym celom, i „mierzy siłę na zamiary, nie zamiar wedle sił."

Do takich, co najmniej przedwczesnych zachcianek, należą podejmowane w ostatnich czasach w Stanach Zjednoczonych usiłowania dowolnego sprowadzania deszczu, zapomocą sprawionych wybuchów rozmaitych ciał piorunujących w atmosferze, jak nitrogliceryna, dynamit, proch, mieszanina tlenu z wodorem i t. p. Byłoby to istotnie zwycięztwo niezmierne i płodne w błogosławione następstwa, zwłaszcza w krajach ulegających częstym i długim posucnom, ale dotąd nie ma jeszcze nauka prawie żadnych do osiągnięcia go widoków.

Dla wyjaśnienia tej kwestyi skorzystamy z odczytu, wygłoszonego przez Edwina I. Houstona w oddziele elektrycznym Instytutu Franklina, a podanego w jednym z ostatnich numerów „Revue scientifique."

W atmosferze znajduje się zawsze pewna ilość pary wodnej w stanie przezroczystego i niewidzialnego dla nas gazu. Ilość pary, która może się znajdować w tym stanie w danej masie powietrza, zależy od jego temperatury. Im wyższą jest temperatura, tem więcej potrzeba pary do nasycenia pewnej jego masy, zkąd wynika, że przy obniżeniu tempe-

ratury, powietrze będzie się coraz bardziej zbliżało do punktu nasycenia, to jest będzie coraz wilgotniejsze, aż wreszcie dosięgnie tego punktu i wtedy zawarta w niem para, przy dalszem obniżeniu temperatury pod punkt nasycenia, zacznie się skraplać i jeżeli oziębienie będzie nieznaczne, utworzy mgłę albo obłok, jeśli większe, zamieni się w deszcz albo w śnieg. Aby więc powstał deszcz, zwłaszcza duży i na znacznej przestrzeni, potrzeba koniecznie znacznego oziębienia wielkiej masy powietrza.

Myśl sztucznego sprowadzania deszczu zapomocą wybuchów powstała z rozpowszechnionego przekonania, że wielkim bitwom i wybuchom wulkanów towarzyszą zwykle deszcze, lub bezpośrednio po nich następują. Co do bitew, rzecz nie jest bynajmniej stwierdzona zapomocą dokładnych spostrzeżeń, owszem, mamy wiarogodne świadectwo, że często pomimo długotrwającej strzelaniny z ogromnych dział, jak na przykład pod Belfortem, podczas ostatniej wojny francuzko-niemieckiej, panowała najpiękniejsza pogoda. Co się tyczy wybuchów wulkanicznych, deszcze nie stanowią tu żadnego dowodu, bo wtedy wydobywa się z krateru ogromna ilość pary wodnej, która w górnych warstwach powietrza szybko się oziębia i skrapla w deszcz naturalnym porządkiem rzeczy, a nie skutkiem wstrząśnień, wywołanych przez wybuchy.

Obniżenie temperatury wielkiej masy powietrza, konieczne do wytworzenia deszczu, może nastąpić w dwojaki sposób: albo przez zmieszanie ze sobą dwóch mas powietrza, ciepłej i zimnej, albo przez wtargnięcie masy powietrza ciepłego, nasyconego wilgocią, we wnętrze masy zimnego powietrza.

W obu razach może powstać deszcz, a ilość jego będzie zależną od obfitości pary, zawartej w powietrzu, i od stopnia obniżenia jego temperatury. W pierwszym razie może być tylko niewielki i drobny, bo tu, o ile jedna masa się oziębia i zbliża do punktu nasycenia, o tyle druga się rozgrzewa i tem samem oddala od tego punktu, więc działania się do pewnego stopnia równoważą i wtedy tylko może wypaść obfitszy deszcz, jeżeli w masach zmieszanych było bardzo dużo pary.

Tylko więc w drugim razie, to jest kiedy wielka masa ciepłego i wilgotnego powietrza dostanie się w środek zimnej masy powietrznej, może powstać obfity deszcz na znacznej przestrzeni.

Przytrafia się to przy następujących warunkach:

1) Kiedy wiatr ciepły i zawierający w sobie dużo pary wieje od mniejszych ku większym szerokościom geograficznym. Tak na przykład wiatry wiejące od równika w stronę biegunów są potężnymi wytwórcami deszczu.

2) Kiedy prąd powietrza rozgrzanego przez zetknięcie z ciepłą powierzchnią ziemi, a zatem lżejszego, wstępuje wgórę do znacznej wysokości. W tym razie powietrze to oziębia się z dwóch przyczyn, raz dlatego że się dostaje do warstw wyższych, a zatem zimniejszych, drugi raz dlatego, że się w tych warstwach rozrzedza skutkiem mniejszego ciśnienia atmosferycznego, a to rozrzedzenie jest pracą, na którą zużywa się znaczna część zawartego w niem ciepła. Tak powstają prawie codzienne ulewy w tak zwanych pasach ciszy, po ubu stronach równika.

3) Kiedy wiatr napotyka na swojej drodze pasmo gór, które nie pozwala mu posuwać się w poprzednim kierunku, wtedy musi on podnosić się po ich stokach dogóry, skutkiem czego musi się także oziębiać.

W tych wszystkich przypadkach mogą powstawać obfite deszcze i zdaje się, że wyłącznie tylko przy takich warunkach powstają na ziemi.

Poznawszy warunki tworzenia się obfitych deszczów, zobaczmyż teraz, czy można wywołać je sztucznie zapomocą wybuchów?

Wystawmy sobie, że w pewnej warstwie powietrza następuje jeden lub kilka kolejnych wybuchów prochu, dynamitu lub nitrogliceryny. Powietrze, pchnięte gwałtownie przez gazy powstałe przy wybuchu, rozpierzchnie się na wszystkie strony i masy jego otaczające punkt wybuchu mogą uledz zmieszaniu, poczem, skutkiem zaszłego w miejscu wybuchu rozrzedzenia, nastąpi szybki ruch powietrza od zewnątrz ku temu miejscu.

Jeżeli zatem wybuch sprawia rzeczywiście jakiś potężny skutek, działający na większej przestrzeni, to bezpośrednim jego następstwem powinien być w pierwszej chwili spadek barometru w okolicy wybuchu, zależny od zmniejszonego ciśnienia. Nie robiono dotąd doświadczeń w tym kierunku i dlatego nie mamy zasady do wierzenia, że działanie wybuchu wywołuje zmianę na znaczniejszej przestrzeni.

Wpływ samego wstrząśnienia na wywołanie deszczu nie może mieć poważnego znaczenia. Wprawdzie może powstać prąd wstępujący, który mógłby sprowadzić deszcz, ale ponieważ prąd ten może mieć tylko bardzo nieznaczne wymiary poziome, czyli ponieważ jest ograniczony do bardzo małej przestrzeni, więc działanie jego musi być prawie żadne. Prócz tego należy wziąć na uwagę, że spowodowane przez ten prąd i wogóle przez wybuch oziębienie powietrza musi być wczęści wyrównane przez suche i gorące gazy, utworzone podczas wybuchu. Dlatego więcej odpowiadałby pod tym względem celowi wybuch balonu z mieszaniną tlenu i wodoru, bo przy nim powstałaby para wodna.

Podczas burzy można zauważyć, że każdemu silniejszemu uderzeniu piorunu towarzyszy wzrost natężenia ulewy; że zaś błyskawica działa do pewnego stopnia podobnie jak wybuch prochu (z tą różnicą, że posiada bardzo wielką stosunkowo długość), ztąd poszło mniemanie, że i po sztucznym wybuchu powinien nastąpić deszcz. Ale wniosek to całkowicie mylny, bo mamy mocne podstawy naukowe do sądu, że piorun jest właśnie skutkiem zwiększonego deszczu, to jest zamiany wielkiej ilości pary wodnej na ciecz, a nie przyczyną jego zwiększenia.

Przy próbach robionych dotąd wcelu sztucznego sprowadzania deszczu, nie zwraca się wcale uwagi na warunki higrometryczne, to jest na obfitość pary w powietrzu danej okolicy i stopień jego wilgotności. A przecież warunkiem obfitego deszczu jest właśnie ilość pary wodnej i wielkość obniżenia temperatury. Jest więc rzeczą zupełnie bezużyteczną i śmieszną wywoływać wybuchy w takim czasie, kiedy w powietrzu danej miejscowości znajduje się mało pary wodnej.

Na wytworzenie silnej nawałnicy deszczowej ponad pewną przestrzenią ziemi natura zużywa olbrzymi zasób swojej energii; w porównaniu z nim energia, powstająca przy sztucznych wybuchach, jest taką drobnostką, że trudno się spodziewać, aby kiedykolwiek udało się tą drogą osiągnąć w zwykłych okolicznościach jakiekolwiek skutki.

Mogą być wprawdzie niekiedy wyjątkowe warunki i taki rozkład ciepła i wilgoci w różnych warstwach powietrza, że prądy wstępujące, wywołane przez szereg wybuchów skierowanych od pewnej warstwy kugórze, mogą rozpocząć pracę wytwarzania deszczu, którą dalej prowadzić będzie w tych razach sama przyroda, ale w takich warunkach deszcz przyjdzie, może tylko nieco później, i bez wybuchów. Zresztą dla przyśpieszenia go sztucznie potrzebaby znać dokładnie wszystkie warunki meteorologiczne rozmaitych warstw atmosfery w danej miejscowości.

Potrzebaby w warstwach różnej wysokości umieścić balony uczepione na linach, a w nich rozmaite narzędzia do mierzenia temperatury, wilgotności, kierunku i siły wiatru, stanu elektrycznego i t. d. i te narzędzia połączyć drutami z przyrządami samopiszącemi na ziemi, któreby wskazywały dokładnie i ciągle wszystkie warunki meteorologiczne. Wtedy, wywołując przy sprzyjającym zbiegu okoliczności, wybuchy w innych balonach wzniesionych do właściwej wysokości, możnaby mieć niejaką nadzieję sprowadzenia deszczu. Ale pukać na oślep i marnować proch czy dynamit, to żaden interes.

* * *

Inżynierowie kolejowi pracują ciągle nad sposobami powiększenia szybkości jazdy po drogach żelaznych. Przed kilku miesiącami czytaliśmy w „La Nature" zarys projektu jednego z inżynierów belgijskich, który za główny warunek znacznego powiększenia szybkości biegu pociągów uważa usunięcie podkładów pod szyny i układanie ich na torze z twardej i jednolitej masy, nieulegającej uginaniu się pod przebiegającym ciężarem. Innem ulepszeniem, dążącem do powiększenia szybkości, ma być zastąpienie lokomotyw poruszanych parą przez motory elektryczne.

Cokolwiekbądź gotuje nam przyszłość, trzeba przyznać, że już przy urządzeniach obecnych dają się osiągać bardzo poważne szybkości. Tak na przykład 27 Sierpnia roku bieżącego na drodze Bound Brook w New-Jersey parowóz z trzema wagonami pasażerskiemi przebiegł 1 milę angielską w 39,8 sekundy, a 10 mil zkolei w 430 sekundach. To znaczy, że pociąg ten ubiegał w tej dziesięciomilowej podróży po 126 wiorst na godzinę. Jadąc z taką szybkością podróżny, wyjeżdżający z Warszawy, stanąłby w 9 kwadransów w Granicy, a w 5 godzin w Wiedniu.

Po stosownem ulepszeniu dróg, wozów i motorów, może już z początkiem dwudziestego stulecia, prędkość taka stanie się zupełnie zwyczajną.

* * *

Chiny są ojczyzną i głównym dotąd rynkiem wywozowym herbaty, która wychodzi ztąd głównie do Rosyi, albo wprost drogą lądową, albo przez rynek londyński. Wszakże w ostatnim czasie wywóz herbaty z Chin stale się zmniejsza i to szybko, bo kiedy w roku 1886 wartość wywiezionego towaru wynosiła przeszło 90 milionów dolarów, to w roku 1890 wartość ta obniżyła się już do 69 milionów. Pochodzi to ztąd, że Anglia sprowadza dla siebie herbatę głównie z Indostanu, a wczęści z wyspy Borneo, co jej wypada znacznie taniej; przyczyny zaś tej taniości są następujące:

1) Ogrom i taniość kapitałów, włożonych w uprawę herbaty w tych krajach.

2) Uwolnienie herbaty od ceł wywozowych.

3) Większa łatwość stosunków pomiędzy plantatorami i kupcami.

4) Łatwiejszy przewóz.

5) Wielkie obszary plantacyj, dozwalające na zastosowanie w nich pracy zapomocą maszyn.

* * *

Na zakończenie powtarzamy za francuzką „La Nature” anegdotkę, zapożyczoną z dziennika amerykańskiego „Phonogram.” Dzieci, jak pospolicie utrzymują, płacząc, nie słyszą siebie samych; gdyby zaś mogły usłyszeć się, kiedy już gniew, czy złość je ominie, niezawodnie płakałyby i krzyczały daleko rzadziej. Otóż, pewien obywatel Washingtonu, zmęczony długotrwałym krzykiem i płaczem swojej dwunastoletniej córeczki, rzekł do niej:

— Daisy! idź do mojej biblioteki i tam się wypłacz do reszty przed fonografem.

Dziewczynka usłuchała, fonograf zapisał dokładnie jej szlochanie, a gdy się wreszcie uspokoiła, powtórzył je wiernie. Ta kara nowego rodzaju okazała się skuteczną i od tego czasu Daisy już nigdy nie płacze.

Kiedy fonografy staną się u nas sprzętem domowym, jak w miastach Stanów Zjednoczonych, będziemy mogli sprawdzić wartość tego nowego środka wychowawczego.

W. S.

GOŚĆ WIGILIJNY.

Gwiazda, która ongi wiodła trzech magów Wschodu do żłobka Chrystusowego w Betleem, świecąca już od półgodziny, nagle zgasła. Pokrył ją obłok czarny, o kształtach olbrzymiego smoka, tak długi i szeroki, że w kilka minut potem osłonił połowę firmamentu.

Ciemno się zrobiło, głucho, ponuro. Po chwili znów przypędziło z szumem wycie wichru, który się zerwał nagle i przejął aż do kości...

Kogo?

A no tych, co w tej chwili jadą drogą na szerokich saniach, wysłanych słomą, pokrytych derkami, zaprzężonych w dwójkę rączych gniadoszów. Na przedzie woźnica, Kubuś, tak zdrobniałe noszący imię pomimo to, że mu już siwizna dawno pobieliła sumiaste wąsiska, a na tylnem siedzeniu pan, mężczyzna trzydziestoletni, odziany w dostatnie futro, ciepłe rękawice, okryty od dołu pledem, palący cygaro, które za każdym poświstem wichru iskrzyło się i iskry sypało.

Wiatr zawył, a za tem wyciem ściemniło się jeszcze bardziej i poczęła sypać śnieżyca, szybko przysłaniająca białym całunem śpiące pola i łąki.

— Kubuś, źle! A to jeszcze ze dwie opętane mile do Zakrętów.

— Źle, panie. A najgorzej, że tu drogi niepewne, pociemku na jakiem pogruchotanem mościsku kark skręcić łatwo.

— A co to za światełko widać przed nami?

— A to już wielmożny pan zapomniał?—z uśmiechem odparł stary fornal. — Toć to przecie Kolaski pana Czekalskiego!

— Nie poznałem — odmruknął pan, dajmy na to, Władysław; rzucił cygaro niedopalone, nasunął czapkę futrzaną, okrył się skwapliwie wysokiem kołnierzem i począł dumać.

O czem?

A no o owych Kolaskach, i o panu Czekalskim, i o pannie Róży, jego dwudziestoletniej jedynaczce, i o tem że tam teraz u nich pokojówka Kasia z Maciusiem, niby lokajem, stół nakrywa do uczty wigilijnej, a wreszcie i o tem, jak on to przez trzy lata do uczty tej w Kolaskach zasiadał, a teraz oto nie zasiędzie, nie, bo mu już tam drzwi zamknięto, wstępu wzbroniono, ba, zakazano najsurowiej!

Mój Boże! jeszcze cztery miesiące temu nosił na palcu serdecznym pierścionek, który mu panna Róża sama włożyła, biorąc wzamian piękny sygnet z brylantem i perełkami. Już tedy uścielał gniazdko rodzinne w starym, pochylonym dworku swej wioski, po rodzicach spuścizną przejętej. Już marzył o rychłem szczęściu, które tam, pod omszałym dachem, niby z nieba przyjść miało. A oto teraz wszystko pierzchło, rozwiało się, zniknęło, pozostawiając tylko wspomnienie, smutne, jako owe jęki wichru, który po świecie lata, niby szalony.

Ciężką od bolesnych dumań głowę pochylił pan Władysław, błędnem spojrzeniem wiodąc wokoło. Aż spojrzenie to uparcie utkwiło w owem światełku, zwiastującem Kolaski pana Czekalskiego.

— Kubuś!

— Słucham pana.

— Gdzie się tak świecić może, w karczmie czy w kuźni?

— Ani karczmy, ani kuźni z tej strony w Kolaskach niema, wielmożny panie, jeno samiuteńki dwór. Teraz drzewa nagie w ogrodzie, to i każde okno ode drogi łacniej widać. Mnie się patrzy, co to chyba światło z jadalni, bo strasznie rzęsiste, a to dzisiaj przecie wilija, to świec płonie dużo.

Pan Władysław nie odparł nic, tylko się znów pogrążył w dumaniu.

Dlaczego on stracił to szczęście, o którem tak słodko marzył, którego tak gorąco pragnął, a które było mu już tak blizkie? Alboż mu panna Róża nie powiedziała „na wieki,” gdy kładła na palec serdeczny pierścionek z turkusikiem?

Jegoż to jest winą, że mu Pan Bóg rzucił w serce kolący oścień zazdrości, który tak rani, tak dokucza, tak krwawi, że aż do szaleństwa wiedzie? Żeby nie ten kuzynek młodziutki, taki natrętny w usługach, taki zawsze słodki, uśmiechnięty, taki wesoły, dowcipny, wychuchany, wylizany, wszystko byłoby dobrze! Kuzynek za drzwi wyleciał i nie obraził się, ani sprawy honorowej nie zrobił, ani świadków nie przysłał, a tymczasem panna Róża do serca to tak wzięła, że mu w liście przysłała rekużę z sygnetem brylantowym, żądając natychmiast zwrotu swego turkusa.

W owym liście, pełnym gorzkiej oziębłości, napisała te słowa, których on nie zapomni do śmierci: „Jeśli z miłością nie idą w trójce ufność i wiara, tedy nie warto łączyć, co przez to rozłączać się musi. Zazdrość jest owocem podejrzliwości, a podejrzliwość brakiem ufności, wiary i szacunku. Bolesne mi to, ale proszę zapomnieć o mnie.”

Od czterech więc miesięcy zapominał i... zapomnieć nie mógł. I teraz, gdy pytał Kubusia o światełko, widne tam het, przed nimi, kłamał, najoczywiściej kłamał. On wiedział że to Kolaski, znał je doskonale z każdej ścieżyny, z każdego drzewa przy drodze i z oczami zamkniętemi trafiłby do nich napewno, gdyby trafić miał poco.

Ale... niema już poco!

Westchnął, odwinął trochę kołnierza, uniósł głowy, spojrzał przed siebie, a na świecie wicher dął, śnieżyca tumanami wykręcała na wsze strony, aż się gniadosze potykały od tych rozkoszy, a ciemno było, że choć oko wykól.

— Kubuś, a gdzież się owo światełko niby z Kolasek podziało? Już go nie widać!

— Wykręciliśma się krzynkę, to i ostało naboku, ale jest ci, jest, o tam!

I fornal biczyskiem wskazał na lewo.

Jest! A jakie teraz wyraźne, żywe, odbijające się barwami tęczy w wirujących płatkach śniegu! Panu Władysławowi krew do głowy uderzyła, serce zabiło niby młotem, zrobiło mu się dziwnie ckliwo, miękko a żałośnie. Znów smutnie pochylił głowę i zadumał się.

No no, od czterech miesięcy tu nie był, zdawało mu się, że choćby ujrzał przed samym nosem Kolaski, to minie je obojętnie. Ale serce ludzkie, kto je tam wie, kiedy się odezwie, choć głuszone uparcie! Odezwało się, odezwało...

Dumał pan Władysław i wzdychał.

Co *ona* tam teraz robi? Może zasiadają do wigilii, nie myśląc o nim, a kuzynek utrapiony między nimi? Cóżby dał za to, żeby tak choć za oknem mógł popatrzeć!

A właśnie dojechali do drogi, która od traktu skręcała nagle w lewo, ku dworowi w Kolaskach. Konie, nawykłe niegdyś do częstej-nią jazdy, skręciły także na lewo, a Kubuś, który się tego nie spodziewał, ściągnął gwałtownie lejce i zaklął od najsiarczystszych, osadzając gniadosze na miejscu. Dzwonki zabrzęczały, sanie wstrząśnięte przeraźliwie skrzypnęły, a pan Władysław wyrzekł gniewnie:

— Oj stary, stary! Własnych kości nie żałujesz.

A Kubuś tymczasem usiłował skręcić na prawo, co nie było łatwo, gdyż konie, ściągnięte silną dłonią, splątały się.

Pan Władysław, widząc próżne narazie usiłowania woźnicy, milczał cierpliwie, ale ni ztąd ni zowąd wyprostował się, odwinął zupełnie kołnierz i rzekł:

— Jedź do dworu!

Kubuś, zdziwiony, gębę rozdziawił i spytał:

— Do dworu? tu, w Kolaskach?

— Ma się rozumieć!

Fornal na konie świsnął, lejcami szarpnął — sanie szybko pomknęły i po chwili stanęły przed gankiem domu pana Czekalskiego.

Odgłosy dzwonków usłyszano widocznie w pokojach, bo oto za szybami ganku zrobiło się jasno, a pan Władysław, wszedłszy we drzwi, znalazł się oko w oko... z młodziutkim kuzynkiem.

* * *

— A któż tam? Gość w dom, Bóg w dom, a jeszcze kiedy w porę! — odezwał się głos gospodarza domu z sieni. — Prosimy!

Ale w tej chwili świeca od podmuchu wichru, który wdarł się do ganku, zgasła i pan Władysław znalazł się śród ciemności egipskich. Ta nagła przemiana światła na cień oddziałała na niego tak, jak wiadro zimnej wody, wylanej na głowę. Gość nieproszony chciał się już cofnąć i drapnąć, gdy wtem poczuł iż go wzięto pod rękę i usłyszał przyciszony głos kuzynka:

— Niech się pan nie odzywa! Wejdziemy bez anonsowania, tajemniczo, toż to będzie niespodzianka! — A potem ten sam głos szepnął mu ciszej do ucha: — Toż to będzie radość! Rózia zatęskniła się, zesmutniała, zmizerniała...

I pociągnął gościa do sieni, pomógł mu zdjąć futro, powiesił je na kołku, nad niem czapkę i, pociągnąwszy go za ramię, wepchnął w szybko otwarte drzwi, za któremi pan Władysław znalazł się w prawdziwej łunie, w potokach światła, wobec stołu zastawionego do uczty wigilijnej, do której zasiedli już wszyscy domownicy starym obyczajem.

Pan Czekalski stał na środku, oczekując gościa, którego gdy ujrzał, zmieszał się i ku niemu wcale się nie pokwapił.

A tuż przy nim panna Róża, z talerzem opłatków w ręce, z szeroko otwartemi oczami, ze wzro-

kiem osłupiałym prawie, wpatrzona w pana Władysława niby w widmo, które zjawiło się cudem, nieoczekiwane, niespodziewane.

Nie wiem jakby się zerwała cisza złowroga, jaką tu powitano gościa, gdyby nie słowa kuzynka, który wesoło wykrzyknął:

— Gość w dom, Bóg w dom! A co, miły gość? A że brakło nam go do pary, prędzej, kuzyneczko, każ podać nakrycie, podsuń mu opłatek i życz „dosiego!"

Pan Władysław ocknął się podczas tych słów młodzieniaszka, skłonił się ojcu i córce, a następnie rzekł:

— Nieczekany, nieproszony, ale zagnany śnieżycą i zawieruchą, proszę o chwilę odpoczynku, o kącik przy kominku i przebaczenie, że się zjawiam, jak upiór, o którym już można było zapomnieć... komu to łatwo przychodzi. Ja... przepraszam bardzo... ale... nie mogłem ominąć tego domu, w którym tak jasno, ciepło, wesoło, w którym pozostawiłem tak wiele.

Gdy pan Władysław mówić przestał, na twarzy gospodarza odbił się wyraz niemiłego zakłopotania, a Róża spuściła oczy i blada, zmieszana, zbliżyła się do ojca, aby mu podać opłatek. Kuzynek tylko wesoło podszedł do gościa.

— No! — zawołał, — niebawmy się w gawędy, bo waza już na stole. Kuzynko! — zwrócił się do Róży, — czy nie pora zacząć? Ja się zajmę gościem i niech się to już nie zwłóczy.

Ale pan Władysław, który odpowiedzi z własciwej strony nie otrzymał wcale, zwolna odsunął ręką kuzynka i rzekł:

— Przepraszam... stryj w Zakrętach czeka na mnie, a skoro wiem już, że tu wszyscy zdrowi...

Pan Czekalski tymczasem badawczo spoglądał na córkę, która, usłyszawszy co mówił przybysz, nagle zwróciła ku ojcu wzrok, w którym wyczytać można było łatwo niepokój i żal. Więc podszedł szybko ku gościowi, ujął go pod ramię i rzekł:

— O, cóż znów! Alboż tu nam zbraknie nakrycia i miejsca przy stole? Siadajmy, a pierwej, postaremu...

Panna Róża podsunęła ojcu talerz z opłatkiem, stary ujął ten chleb wigilijny, podzielił go z jedynaczką, ucałował jej czoło, a do ucha, zamiast życzenia, szepnął jej pytanie:

— Cóż teraz będzie?

Nie odpowiedziała nic, podała opłatek gościowi w zupełnem milczeniu i ze spuszczoną głową, a gdy obrządkowi pomiędzy nimi stało się zadość, zwróciła się szybko ku innym biesiadnikom, którzy otoczyli ją ze stron wszystkich.

Pan Władysław czuł niewymowną gorycz... Płynęła ona z przekonania, że znalazł się tu niepotrzebnie, że się go tu nikt nie spodziewał, ani go oczekiwał. Ale przyjąwszy opłatek, nic można już było wycofać się z tej opłakanej sytuacyi. Zresztą kuzynek bez ceremonii ujął go pod ramię i pociągnął do krzesła, a przez drogę szepnął:

— Zobaczysz pan, wszystko będzie jaknajlepiej. Usiądziemy przy sobie!

Ta protekcya młodego chłopca upokarzała gościa i była dlań przykra. Wszakże kuzynek nie mógł zapomnieć, że przed kilku miesiącami pan Władysław formalnie kazał mu pójść za drzwi w uniesieniu najzupełniej nieuzasadnionej zazdrości.

Ale Karolkowi ani przez myśl nie przeszło, żeby to miała być zazdrość. Wiedział dobrze, że p. Władysław był impetykiem, przypuszczał że rozgniewał się o niespodziewane wejście kuzynka w chwili może bardzo ważnej (zakochani miewają takie chwile!), a przez najserdeczniejsze przywiązanie do Róży nie obraził się o wyrządzoną sobie zniewagę. Miał serce niezmiernie dobre, więc wyobrażał sobie, jak się narzeczony oburzyć musiał, gdy mu nieoczekiwany intruz przerwał gorące wynurzenia miłosne. A z drugiej strony bardzo szanował pana Władysława, którego znał od dzieciństwa i był z nim zawsze w najlepszej harmonii. Kuzynka zaś nie wytłómaczyła mu przyczyny zerwania i... widział to, że cierpi nad niem bardzo. Więc trzeba godzić, jednać, naprawiać co się popsuło, wiązać nanowo, co się zerwało!

Wiązał tedy, naprawiał, jak umiał.

Pan Władysław dał się pociągnąć i za chwilę siedział przy boku gospodarza, mając przy drugim kuzynka, a wprost siebie pannę Różę. Niesporo mu szło z polewką winną, która mu przez gardło przejść nie chciała, nie mógł sobie dać rady z karpiem i szczupakiem, tylko co nie udawił się grzybem w kapuście, a szklankę piwa wychylił tak gwałtownie, jakby się śpieszył, aby mu jej nie zabrano. Ile razy spojrzał przed siebie, spotykał się ze wzrokiem panny Róży, która natychmiast spuszczała oczy na talerz i płonęła najpiękniejszym karminem.

Przy stole było cicho, poważnie, posępnie. Gość nieproszony byłby chętnie uciekł, bo czuł, że jest przyczyną milczenia i tej ponurości usposobień, która aż nadto była widoczna. Jemu samemu skwaszony humor i bardzo naturalny niepokój nie pozwalał zawiązać rozmowy. A dawniej bywało tu tak głośno, gwarzono tak wesoło, śmiano się tak radośnie! Poco go tu licho przyniosło?

Przy kluskach z makiem kuzynek trącił go lekko w łokieć i, pochyliwszy się ku niemu, szepnął:

— Pamięta pan, jak to starym zwyczajem po wigilii każdy sięga pod obrus, aby z siana, z którem stół wysłano, wydostawać upominki gwiazdkowe?

Pan Władysław machinalnie skinął głową.

— A co pan ofiaruje kuzynce? — pytał naprzykrzony młodzieniaszek.

— Nie mam nic, nie spodziewałem się być tutaj.

— To źle, a ze zwyczaju wyłamywać się nie można. Ale ja panu poradzę!

— Na przykład?

— Niech pan mi da ten pierścionek, który pan ma na palcu.

Pan Władysław, usłyszawszy to, zbladł. Miał na palcu ów pierścień z brylantem, zwrócony sobie przez narzeczoną.

— To niepodobna!

— Wszystko jest możliwe — szeptał dalej młodzieniec, pod stołem bez ceremonii ściągając mu klejnot z palca. — Trzeba korzystać z okazyi.

Gość nie zdążył zaprotestować, gdy już Karol szybko wstał z krzesła i, okrążywszy stół, podszedł do panny Róży. Mówił z nią coś pocichu, śmiał się wesoło i niespostrzeżenie uniósłszy obrus, wsunął pierścień pod niego. A potem usiadł na swojem miejscu, rozgadał się żartobliwie o niespodziankach kolędowych i rzekł wreszcie:

— Trzeba przyjąć, co komu los przeznaczył!

Rozruszano się troszkę, przy pomocy starego miodu, który niknął ze szklanek szybko. Nawet milczący dotąd pan domu, z natury wesoły i rozmowny, teraz wrócił do zwykłego usposobienia.

Rozgadał się o dawnych czasach, żartował z rządcy i klucznicy, zwracał się z zapytaniami do gościa, który bąkał odpowiedzi krótkie, ucinkowe. A panna Róża wciąż patrzyła w talerz, ponura, płoniąca się i blednąca naprzemiany.

Kiedy sprzątnięto talerze i półmiski ze stołu, pan Czekalski odchylił część obrusa przed sobą i wyjął zpod niego wspaniały kapciuch, wyhaftowany rękami córki.

— Bardzom rad z losu — zawołał wesoło, — dał mi, czegom oddawna pragnął. Zobaczcież państwo, co dla was przeznaczył.

Zaczęło się tedy szukanie darów gwiazdkowych w sianie; wydobywano z niego drobiazgi najrozmaitsze, wykrzykując, śmiejąc się, dowcipkując. Tylko panna Róża, obaczywszy dary dla siebie przygotowane, zbladła jak ściana, a potem pochyliła się nad stołem i poczęła płakać cicho, ale aż nadto widocznie.

— Co to jest? co się stało? — zawołał ojciec. — Różyczko, czego płaczesz?

Ona zaś powstała, szybko i nieznacznie obtarła oczy, pocałowała ojca w rękę i rzekła:

— Mój ojczulku, tak mi się jakoś serce ścisnęło pod wpływem wspomnień, ale to już przeszło!

I szybko odwróciwszy się w stronę drzwi, odeszła dziwiąc tem niepomiernie pozostałych. Wszyscy spojrzeli na odchodzącą zdumieni i milczący, jeden tylko kuzynek zerwał się szybko, pobiegł do miejsca, na którem siedziała Róża, spojrzał bacznie na rozrzuconą po stole garstkę siana i zaśmiawszy się radośnie a głośno, pobiegł za panną Czekalską.

Pierścienia z brylantem w sianie nie było!

Odejście córki gospodarza skwasiło towarzystwo przy stole. Ojciec panny Róży, jakby stropiony, odsunął z niechęcią szklankę z miodem, pan Pykalski, rządzca, nie sięgnął odtąd ani razu po piernik toruński, a biedny pan Władysław, przeczuwając, że się mimowoli przyczynił do tych kwasów, spuścił smutnie głowę i myślał nad tem, jakby ztąd uciec, choćby na kraj świata. Tylko na szarym końcu szeptano dyskretnie, spoglądano we drzwi, któremi odeszła panna Róża, i na pana Władysława, ku któremu kto wie, czy nie wytworzyła się głęboka niechęć. Zrozumiano bowiem dobrze, że ten gość nieproszony piwa nawarzył.

Przez kwadrans prawie przy stole wigilijnym cicho było i smutno, gdy nagle wbiegł kuzynek, skierował się ku panu Władysławowi i ująwszy go za rękę, włożył mu na palec pierścionek z turkusikiem.

— Kuzynka przysyła to panu na gwiazdkę... i na zamianę — rzekł głośno i wesoło. — A co? mówiłem że wszystko będzie dobrze! Chodźże jej pan podziękować!

I pociągnął gościa w stronę, w którą odeszła panna Róża.

Pan Czekalski zrozumiał teraz jasno, że dzieje się coś ważnego, czemu przeszkadzać nie należy. W nagłych rumieńcach gościa, w rozjaśnionej jego twarzy wyczytał rzeczywistość, która dlań była bardzo przyjemna. Sprzyjał on całą duszą panu Władysławowi, radował się z przyszłego związku, bolał bardzo nad jego zerwaniem, a teraz cieszył się na myśl, że nić pęknięta znów się nawiązuje.

Przy stole obecnie była jeszcze większa cisza, niż poprzednio. Przeczuwano chwilę ważną, która też rychło nadeszła, gdy otwarły się podwoje i wkroczyli niemi pan Władysław i panna Róża, trzymając się pod ręce, uśmiechnięci radośnie, zwróceni ku sobie wejrzeniami, w których jaśniały miłość i zgoda.

Młodzi nie powiedzieli nic, nie tłómaczyli, nie usprawiedliwiali się, a już na widok ich ojciec wzniósł dłonie i wykrzyknął:

— Dzięki Bogu!

A w tym samym momencie pan Pykalski z wielkiego ukontentowania huknął potężnym basem:

„W żłobie leży, któż pobieży
Kolędować małemu...”

I była tedy wigilia z owym gościem nieproszonym prawdziwą ucztą radości.

St. M. Rz.

Z chwili bieżącej.

---

* **Schronienie nieuleczalnych paralityków.** Opiekunki tego przytułku nieszczęśliwych zwracają się z prośbą do miłosiernych osób o nadsyłanie skrawków i odpadków od wszelkiego rodzaju materyj jedwabnych, wełnianych, bawełnianych, na skubanki i inne roboty dla swoich pupilów.

Niema domu, któryby nie miał poddostatkiem takich strzępków, zupełnie już prawie na nic niezdatnych, które tylko pozbierać i odesłać trzeba, żeby z nich uczynić pożyteczną dla cierpiącej ludzkości ofiarę. Sądzimy, iż nikt się nie cofnie przed tak małym a tak sowicie opłaconym trudem. Adres Schronienia: Nowomiejska nr 32.

Można także składać w redakcyi „Kroniki rodzinnej,” Mazowiecka numer 10.

* **Towarzystwo racyonalnej reformy odzieży niewieściej** odbyło w tych dniach walne zgromadzenie w Londynie. Licznie zgromadzone kobiety, pod prezydencyą margrabiny Harberson, obradowały nad reformą stroju swojego w podwójnym kierunku: praktycznym i estetycznym. Zdaje się, że pod tym drugim względem usiłowania Towarzystwa niezbyt świetny osiągnęły skutek; takby się przynajmniej zdawało z żywych modelów niewieściego stroju przyszłości, któremi były sama pani prezesowa i pani Hall.

Prezesowa jeszcze jak prezesowa: była ubrana kuso i tyle; ale radykalniejsza pani Hall miała na sobie prawie wszystko męzkie, począwszy od niższej części ubrania, aż do najwyższej, to jest do kapelusza. W dodatku owa najdrażliwsza część stroju jak ta, w której Turków malują na szyldach i pudełkach, a zpod niej wcale ciekawie wyglądały cienkie i niezbyt proste nóżki pani Hall.

Strój ten ze stanowiska estetycznego nie wytrzymywał najpobłażliwszej krytyki, nie podobał się też bynajmniej, zwłaszcza młodym i ładniejszym kobietom.

Co się tyczy jego praktyczności, to także wielkie pytanie, gdyż, o ile wiadomo, to i Turcy prawie już zupełnie owe tradycyjne szarawary zarzucili. Co dziwna, to że podczas całego zgromadzenia, na którem bardzo dużo mówiono, ani jedna z mówczyń ani jednem słówkiem nie potrąciła o gorsety, ani o korki w bucikach; a przecież to są rzeczy, od których wszelka reforma stroju kobiecego rozpocząćby się powinna.

W Anglii jest dużo kobiet bogatych, poduczonych a niedouczonych, i niemających nic do roboty, więc tam takie dziwactwa mogą budzić zajęcie i zyskiwać zwolenników; że u nas podobne stowarzyszenie nie powstanie, chyba można być spokojnym.

* **Z życia amerykańskiego.** Panie nasze uskarżają się, i słusznie, za trudność w wyszukaniu dobrych sług; cóżby jednak poczęły, gdyby się nagle ujrzały przeniesionemi do takich Stanów Zjednoczonych Ameryki północnej, uważanych przez niektórych za kraj idealnie pod względem stosunków społecznych urządzony, gdzie służące nie biorą żadnych świadectw, ani nie posiadają książeczek służbowych, i gdzie, przyjmując je, trzeba liczyć jedynie na swoję znajomość fizyognomii i na szczęście.

Jak dalece zaś jedna i drugie zawodzą, świadczy świeży przykład państwa Beals, ludzi zamożnych, milionerów, posiadających piękną willę pod Kanzas City. Przyjęli oni sługę, nazwiskiem Lezie Smith, która w kilka dni zniknęła wraz z najmłodszym ich synkiem. Gdy poszukiwania policyi za dzieckiem i zbiegłą sługą do żadnego nie doprowadziły rezultatu, zrozpaczony pan Beals ogłosił w dziennikach iż 5,000 dolarów ofiaruje temu, kto mu dziecko odniesie, zapewniając, że się go o nic pytać nie będzie. Wtedy dopiero zjawił się wieczorem w willi jakiś człowiek zamaskowany, który po wielkich targach, obiecał dostawić dziecko. No i dotrzymał słowa; przyniósł chłopca, odliczył skrupulatnie otrzymane pieniądze i zniknął. Niedługo potem policyi udało się schwytać ową Lezie Smith. Pokazało się że to była żona owego zamaskowanego, że oboje przybyli z Colorado, gdzie siedzieli w więzieniu za kradzież koni, i że ona przyjęła służbę z naprzód uknutym planem ukradzenia dziecka. Ładne stosunki, nieprawdaż, wśród których, chcąc przedmiot ukradziony odzyskać, trzeba grubo zapłacić i w dodatku zapewnić bezkarność złodziejowi?...

* **Salon ekonomiczny.** Tak się zwać będzie nowe przedsiębiorstwo, które niebawem ma rozpocząć działalność swoję w mieście naszem. W salonie tym dokonywać się będą wszelakie naprawki, poprawki, czyszczenia, odnawiania i t. d., tak że wchodzący tam człowiek nieporządnie ubrany, obdarty, brudny, rozczochrany, po niedługim czasie wyjdzie niby dandys odświeżony, umyty, ogolony i uczesany.

Taki czarodziejski zakątek, jeśli notabene będzie dobrze obsłużony i nie będzie zdzierał klientów, może niejednemu być na rękę, pytanie jednak, czy sam będzie dobrym dla przedsiębiorcy interesem? U nas zakładów reparacyjnych jest kilka i wszystkie mniejwięcej mają zajęcie, ale to może właśnie dlatego, że są niejako wukryciu, że mało kto o nich wie i dlatego każdy wejść do nich może niepostrzeżony.

Czy taki sam zakład, tylko na większą skalę i bardziej w oczy wpadający, zyska liczną klientelę, która naturalnie jest pierwszym i koniecznym warunkiem powodzenia, tego przesądzać nie chcemy.

* **Termin ukończenia kanalizacyi.** Plac Krasińskich ma być oczyszczony z materyałów nagromadzonych na nim przez zarząd budowy kanałów, celem założenia na nim skweru. Materyały te przeniesione mają być na plac leżący przy zbiegu ulic Kruczej i Pięknej, który magistrat wydzierżawił od właściciela na czas od 1 Października roku bieżącego po dzień 13 Stycznia 1898 roku.

Wiadomość tę podejmujemy głównie dlatego, że w niej znajduje się oficyalna niejako wskazówka ostatecznego terminu ukończenia budowy naszych kanałów. Kto tedy przeżyje jeszcze lat 7, może mieć nadzieję, że przestanie utykać na mostkach rzucanych prowizorycznie nad świeżo wykopanemi czeluściami kanałowemi i nie będzie potrzebował oddychać miazmatami wydobywającemi się z świeżo wybranej ziemi, na której przesycenie nieczystościami ulicznemi całe wieki się składały.

* **Wystawa gospodarczo-spożywcza** na rzecz Towarzystwa dobroczynności będzie prawdopodobnie urządzona w poście. Nie myślimy tutaj wdawać się w rozstrząsanie pytania, czy wystawa tego rodzaju przynosi i jakie praktyczne korzyści dla społeczeństwa; gdy idzie o cele filantropijne, mniejsza o nieco większą lub mniejszą pożyteczność środka, użytego do podniecenia ofiarności publicznej. Ale dlaczego wystawa spożywcza ma być urządzona w poście? Czy dlatego, aby ludzie trzymający się wiernie przepisów Kościoła rzymsko-katolickiego mieli jaknajmniej sposobności do oceniania okazów wystawowych, o których wartości jedynie przez kosztowanie przekonać się można?...

* **Dla literatów i innych pismaków.** Są rzeczy bardzo pożyteczne, których pożyteczność wszyscy mniejwięcej znamy, ale zapominamy o niej, można dlatego, że to są rzeczy bardzo pospolite i bardzo tanie. Wnosząc z nagłówka niniejszego artykuliku, może kto przypuszcza, że tu mamy na myśli ogłaszającą się właśnie maszynę do szybkiego pisania? Niech nas Bóg broni i zachowa! Ani nam to przez głowę nie przeszło, choćby dlatego, że ta tania maszyna kosztuje 100 rs., sumę dla przeciętnej kieszeni literackiej cokolwiek za... drażliwą.

My chcieliśmy tu przypomnieć coś o wiele prostszego i tańszego, bo prosty, zwyczajny kartofel, który, na biurku literackiem umieszczony, wybornie konserwuje wtykane w siebie po użyciu pióra stalowe. Każdy przeczytawszy to, przypomni sobie zapewne, że już o tem gdzieś słyszał lub czytał. Tak jest niezawodnie, a jednak tak mało widujemy kartofli, spełniających tą wielką i cenną dla piszących usługę. Dlaczego?... Jeśli komu surowy kartofel na biurku wydaje się zanadto ordynaryjnym sprzętem, to może go umieścić w ładnem pudełku lub jeszcze lepiej w ozdobnem naczyńku porcelanowem, a będzie miał *essuie plume* równie eleganckí jak wiele innych, a lepszy, praktyczniejszy od wszystkich.

G. Cz.

Odpowiedzi od redakcyi.

Stałej prenumeratorce Ellen. Redakcya niemoże na żądanie pomieścić kroju kaftaników nocnych, gdyż kroje już gotowe przychodzą z za granicy.—Rękawy u kaftaników nocnych używają się nadmarszczone, ale nie tak wysoko, jak u sukien.

Pani Antoninie Budkowskiej w Radziwiłłowie. W Warszawie jubilerzy nie trzymają granatów czeskich; znajdują się one tylko w dwóch składach, jeden: Kardone przy ulicy Niecałej nr 12 drugi Klinka, ulica Żabia nr 4. Gotowych kolij nie ma, są tylko sznury szlifowanych granatów od rs. 3 do 7 sznur jeden, co zależy od oszlifowania. Szpilki także są w różnych gatunkach i cenach, poczynając od rs 3. Małe grzebyki do włosów od 4 rs. Do sukien jasnych, balowych jedwabnych noszą pantofelki z tej samej materyi, co suknia. Do strojnych kostyumów buciki z ciemnej brązowej skórki; zbyt jasne nie są teraz używane.

Pani Janinie Maryi C..skiej. Bohaterem idylii jest... śpiewak operetkowy! Słyszał kto co podobnego? Co za chorobliwy sentymentalizm, jakie zamieszanie w myślach, jaki smutny ich kierunek! Czyż niema w życiu poważniejszych tematów? Panna, coby poszła za operetkowym błaznem w „noc posępną,” to nie dla nas towarzystwo.

Pani Jadwidze K. w Bodzechowie. Tygodnik bywa oddawany na pocztę obecnie tak samo jak i dawniej, w niedziele rąk więc pani dochodzić powinien. Może poczta miejscowa powód złego wyjaśni.

☞ Do dzisiejszego n-ru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami i Prospekt „Biesiady literackiej.”

Дозволено Цензурою. Варшава, 10 Декабря 1891 г.

Redaktor i Wydawca Emil Skiwski.

Druk Emila Skiwskiego, Warszawa, Chmielna № 26.

Dodatek.

Opis do N-ru 51.

(*Dokończenie*).

N. 2. Suknia z gorsecikowem przybraniem.

Fular ciemno-lila w czarny deseń przybrany jest koronką czarną chantilly i wstążką repsową lila. Spódnica podszewkowa jedwabna 260 c. szeroka, zakończona falbaną koronkową 13 c. szeroką; zwierzchnia fularowa składa się z bryta przedniego skośno ściętego, ze skośnych brytów bocznych i prostego tylnego bryta. U dołu sukni dany wolant z koronką, 7 c. szeroki przemarszczony w nagłówek o 3 c. wyżej wszyta ażurowo wszywka 3 c. szeroka. Materyał zwierzchni pleców złożony jest w cztery fałdy zwrócone do środka; przody na ramionach i pod szyją przymarszczone, na wcięciu stanu zebrane bawetowo w drobne fałdki. Przybranie gorsecikowe naszywa się podług r. 2 na prawej połowie przodu a na lewej się przypina. Bardzo bufiaste rękawy są przymarszczone na obydwóch szwach i wzdłuż naszyte wszywką. Kołnierz pokryty i ogarnirowany koronką.



N. 5 Suknia z fałdowanym stanikiem. Patrz ryc. 4.

N. 3—4. Suknia z krótkim stanikiem.

Odrobiona z granatowego sukna przybrana materyałem naśladującym baranki, albo też pletnią. Przody stanika krają się z podszewki, pokrywają suknem w kształcie plastronu, a pod szyją dany rodzaj karczka z baranka lub z przybrania innego. Plastron ten z jednego brzegu jest przyszyty z drugiego przypinany; zaszewki dolne trzeba dopasować na figurze. Boczki z podszewki krają się oddzielnie zaś pokrycie barankiem dane z jednego kawałka na dopełnienie przodów i boczków. Gładką spódnicę szyje się bez podszewki; przedni bryt ma zaszewki w górze aby leżał gładko, tylne bryty są zmarszczone. Na r. 4 u dołu sukni dane obłożenie 20 c. szerokie, zakończone w górze torsadką; na r. 3 dane trzy zakładki po 5 c. szerokie przedzielane pletnią.

N. 5. Berecik (bolero) dla dziewczynki.



N. 1. Sukienka z kołnierzem koronkowym. N. 2. Ubranie na lekcye tańca dla dziewczynki lat 8—10.



szeroką wstążką repsową. Około główki przewinięta wstążka 11 c. szeroka; z boku pompon z piórek kogucich czarnych brązowych i piaskowych.

N. 6. Kapelusik marynarski dla dziewczynki.

Marynarska forma ciągle utrzymuje się w modzie zarówno dla dzieci jak i dla starszych panienek; rycina 6 przedstawia fason jasno popielaty filcowy z główką 5 c. wysoką i rondkiem prostem 4 c. szerokiem. Opasanie i rozeta fałdowana z wstążki repsowej 4 c. szerokiej.

N. 7—9 i 13. Serweta z pasów wyszywanych.

Pasy wełniane ze szlaczkami złotemi, łączone z sobą robotą szydełkową stanowią tło serwety przedstawionej na r. 8; takie pasy w różnej szerokości i kolorze trzeba kupić gotowe. Stosownie do gustu można mieszać kolory, lub wybrać jeden cień, efektownie przedstawią się razem kolory miedziano-czerwony, oliwkowy i blado-niebieski. Na tle naśladującem gęstą kanwę wyszycie ściegiem płaskim, krzyżykowym i sznureczkowym dane włóczką hamburgską



N. 6. Kapelusz okrągły filcowy.

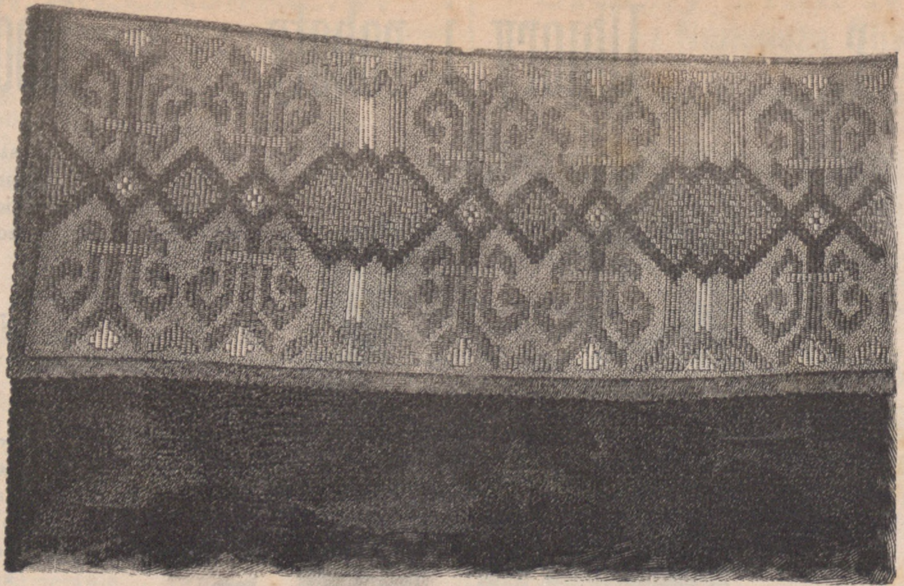


N. 7. Pelerynka włóczkowa robotą szydełkową. Patrz ryc. 8.

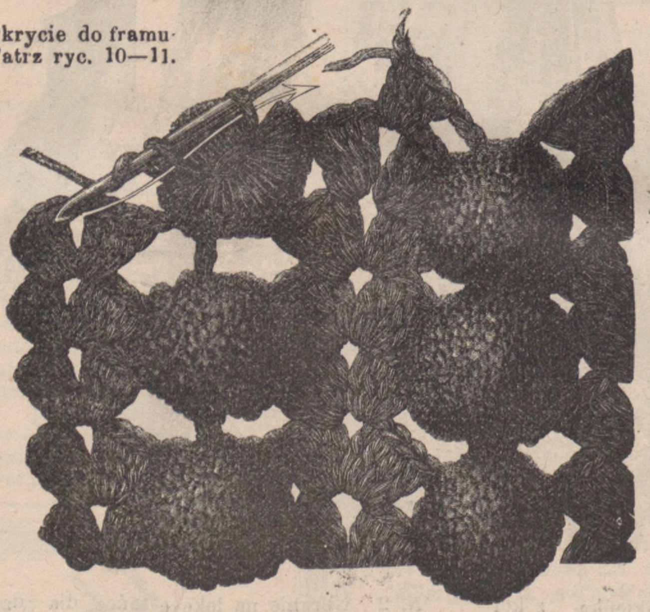
albo cieniutką sznelą i nitką złotą; kontury są obwodzone jaśniej lub ciemniej. Do łączenia pasów i zakończenia brzegów podłużnych służy robota szydełkowa, przedstawiona na r. 9; w pierwszym rzędzie dane pikoty z 4 o. pow. i 1 o. śc. w pierwsze o. pow.: z powrotem robi się rząd o. śc. zajmowanych w zagłębieniu między pikotami i w środek każdego pikota. Na szersze paski dodaje się jeszcze drugi rząd pikotów przedzielanych 1 o. śc. Brzegi poprzeczne zakończa frendzla kwaścikowa; serwetę trzeba podszyć satynką lub tybetem.

N. 10—11. Kosz do papierów, ozdobiony ro-

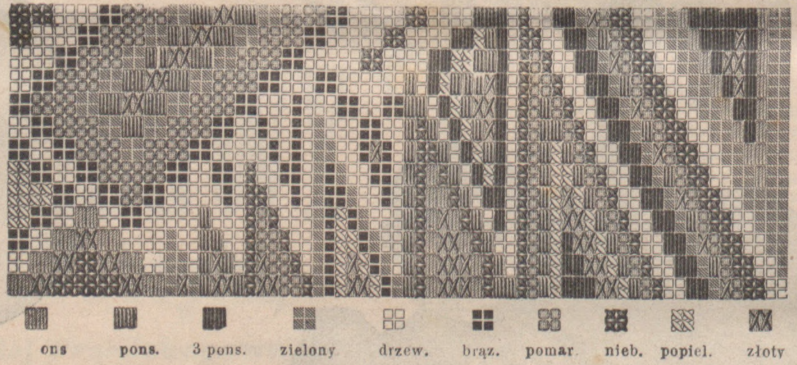
kończone okuciem metalowem stanowią podstawę kosza 44 c. wysokiego, 24 średnicy, plecionego z sitowia. Pokrycie zwierzchnie dane z sukna lub flanelki vieil-or, miedzianej i oliwkowo-zielonej; zeszycie zasłaniają pręty; u dołu i u góry obłożenie z pluszu miedzianego koloru, 3 c. szerokie. Trzy lambrekiny odrobione są z grubej kolorowej bawełny zwanej brylantową (kręcona z nitką zło'ą) i z podwójnie wziętej japońskiej nitki złotej. Z tego samego materyału zrobione sznury i kwasty zdobiące pręty. Górne zakończenie stanowi rząd węzłów nawijanych, przyrobionych do łańcuszka z oczek pow.; na każdy węzeł trzeba dwadzieścia razy nawinąć nitkę na szydełko, po przewleczeniu jedną pentelką przerabia się 1 o. pow. Lambrekiny składają się z oddzielnych gwiazdek, wykonanych podług r. 11, każda gwiazdka zaczyna się od środka kółkiem z nitki złotej, którą nawija się ośm razy około linijki 3 c. szerokiej i obrabia ściśle oczkami. Następnie robi się z bawełny * 1 o. śc., 4 o. pow., 15 razy nawinąć nitkę, przewlec pentelkę przez te wszystkie nitki i przerobić jednem o., 1 o. śc. zajęte w o. kółka, 4 o. pow. nasunąć ku lewej stronie, pentelkę będącą na szydełku wyciągnąć trochę dłużej i zrobić 1 o. śc. w trzecie o. kółka. Powtarzać od gwiazdki póki nie będzia ośm ząbków. Przywiązać złotą nitkę i robić * 1 o. śc. zajęte w o. między ząbkami, 3 o. pow. 1 sł. w cztery o. pow. po za następnym ząbkiem, 3 o. pow. i powtórzyć to od gwiazdki siedm razy. Połączenie rozetek widzimy na r. 10; zakończenie brzegów stanowią aksamitne pompony z nagłówkiem szydełkowym. Na pomponik bierze się watę i pokrywa okrągłym kawałkiem aksamitu, zmarszczonym ściśle w górze; nagłówek stanowią 4 o. pow. w które zajęte 10 sł. Przy ostatniej gwiazdce wisi suty kwaścik z pukli nawijanych, który łatwo wykonać podług r. 11.



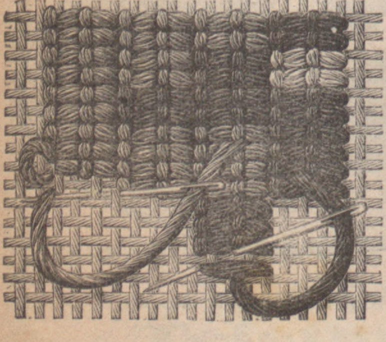
N. 9. Przykrycie do framugi okna. Patrz ryc. 10—11.



N. 8. Robota szydełkowa do ryc. 7.



N. 14. Połowa deseniu do ryc. 12.



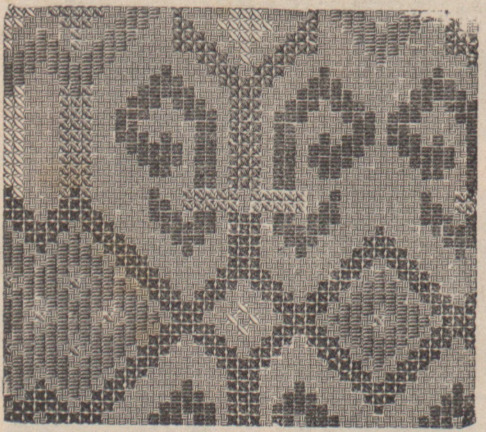
N. 13. Wyszycie ściegu renaissance do ryc. 12.

N. 14 i 16. Sukienka z okrągłym karczkiem.

Rycina 14 przedstawia sukienkę z wełny w kratę, obróconej skośnie, r. 15 z wełny gładkiej z przybraniem ciemniejszem. Gładki podszewkowy staniczek pokryty materyałem marszczonym niedochodzącym w górze na 10 c., to puste miejsce pokryte czterema pliskami po 3 c. szerokiemi, naszytemi okrągławo i zachodzącemi brzegiem jedna na drugą i ozdobionemi rzędem ściegu cierniowego, z ponsowego jedwabiu. Rękawy naszyte trzema pliskami, u góry mają epolety 19 c. szerokie, w środku 28, z boków 19 c. długie. Spódniczka z materyału wziętego skośnie jest 200 c. szeroka, podszewkowa tylko 150 c.; obręb dolny 9 c. szeroki przyszyty ściegiem cierniowym.

N. 15. Ubranie chłopczyka lat 3—5.

Majteczki i przybranie sukienki jest z granatowego sukna, sukienka z szewiotu w kratę granatową i ponsową. Majteczki zakończone 2 c. szerokim paskiem zapiętym z boku na sprzączkę, wyżej przyszyte złote guziczki. Staniczek spodni uszyty z kroazy czarnej na żółtej podszewce; z przodu majteczki przyszyte są do niego, z tyłu przypinane. Luźna bluza składa się z przodów i pleców przymarszczonych w górze i wszytych w karczek zapinany trzema guziczkami na ramionach, krajany z sukna;



N. 11. Część deseniu powtarzającego się w szlaku, do ryc. 9.



N. 17. Suknia przybrana aksamitem i torsadką.

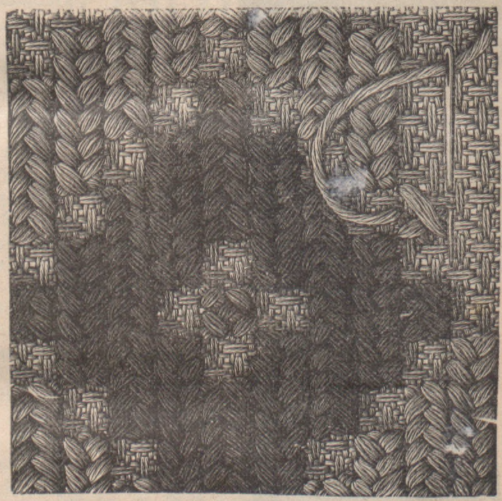
Odrobiona z modnego dyagonalu jasno-sarniego koloru w paski czarne *bouclé*, przybrana czarnym aksamitem i czarną torsadką. Materyał brany jest skośnie i krajany w ten sposób aby środkiem spódnicy z tyłu paski schodziły się w zęby, przedni bryt otwarty środkiem na klinie aksamitnym 14 c. szerokim u dołu. Przody stanika mają plastron aksamitny zwężony do dołu, z jednej strony przyszyty z drugiej przypinany na kryte haftki, podszewka przodów zapina się środkiem. Przody mają zaszewki tylko w podszewce, wierzch zaś rozciąga się gładko; plecy pokrywają si w jednym ciągu z tylnemi boczkami. Baskina kraje się odpowiednio do staniczka; naszycie torsadki wskazuje r. 17.

N. 18. Suknia przybrana koronką.

Czarna wełniana suknia przybrana czarną koronką 18 c. szeroką; kołnierz chusteczkowy i baskina ułożona z kawałka koronki 284 c. długiego, z tego odchodzi 80 c. na kołnierz ułożony w kontrafałdy, po 45 c. na przybranie żabotowe wzdłuż przodów, reszta zaś zostaje na baskinę, dochodzącą z tyłu do części frakowych krajanych od pleców. Spódnica krajana kliniasto, podszyta alpagą, zakończona riuszą koronkową.

N. 20 i 12. Poduszka z haftem szwedzkim.

Poduszka do kanapy licząca 50 c. długości a 37 wysokości ma wierzch z białego sukna a ramę 6 c. szeroką i podszycie z zielonego. Efektowny haft wykonany włóczką crevel podaliśmy w naturalnej wielkości na r. 20, małą brakującą część deseniu łatwo dorysować podług r. 12. Do wyszycia zastosowany ścieg płaski, sznureczkowy i kratki w kilku odmianach. Wokoło brzegów dana wypustka z ciemnozielonego sukna, pociętego również na kwaściki narożne; każdy z nich liczy po 24 paski $^3/_4$ c. szerokie, 15 c. długie, zebrane na mocną nitkę ściśnięte razem i wpuszczone brzegami między szew sukna.



N. 10. Wyszycie ściegu krzyżowego plecionego. Patrz ryc. 9 i 11.

Opis do N-ru 52.

N. 1. Sukienka z kołnierzem koronkowym.

Krojem przypomina suknie z czasów Cesarstwa i odpowiednio do użytego materyału i wykończenia stanowi ubranie spacerowe lub na lekcye tańca dla panienki lat 10—12. W pierwszym razie najlepiej wybrać sukno kolorowe i przybrać falbankami wyciętemi w ząbki, w drugim użyć lekkiej wełny i koronki do przybrania. Krótki bluzkowy stanik wycięty kwadratowo, ma gładką podszewkę zapiętą z tyłu na guziki, wierzch zaś bufiasto namarszczony; rękawy obcisłe do łokcia wyżej spuszczone bufiasto. Spódnica sięgająca do kostek liczy 80 c. długości a tylko 190 c. szerokości i szyje się bez podszewki; dolne przybranie stanowią dwie marszczone po

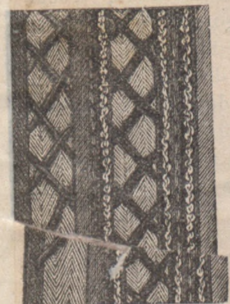
maga okrągło krajanej podstawy, pokrytej marszczoną koronką 7 c. szeroką. Zamiast paska związana jest wstążka jedwabna 5 c. szeroka.

N. 2. Ubranie na lekcye tańca dla dziewczynki lat 8—10.

Wycięty kwadratowo karczek bluzkowo marszczonego stanika, wymaga gładko dopasowanej podszewki, naszytej dwoma rzędami marszczonej żółtawej koronki 6 c. szerokiej. Bufiaste krótkie rękawki zakończone koronką. Spódniczka 50 c. długa, 200 c. szeroka zakończona koronką, zastębnowana dwa razy po trzy zakładki. Szarfa z materyi jedwabnej 20 c. szeroka.

N. 3. Suknia z vêtement.

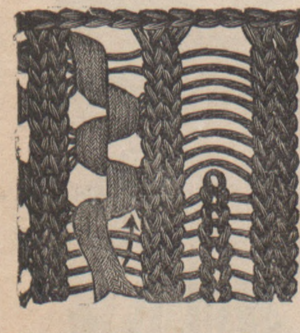
Gustowne to ubranie odrobione z granatowego sukna z fabrycznie przerabianemi piaskowemi szlakami, zakończającemi brzegi boczne wzdłuż sukni i wykłady na staniku. Spódnica podszewkowa jest z lewego boku przykryta brytem popeliny, naszytej u dołu pięcioma skośnemi pliskami stopniowej szerokości, zakończonemi sznurem granatowym z piaskowym. Takież pliski powtórzone na plastronie przy krótkim staniku z boku zapiętym. Na wykłady zbliżone formą do epoletów, potrzeba dwóch kawałków po 105 c. długich po 25 szerokich na ramionach suto namarszczonych niżej zaś zwężonych spiczasto i naszytych gładko. Spódnica przyszyta do stanika składa się z dwóch brytów, środkiem z tyłu ściętych skośnie, prawy bryt zachodzący więcej na przód liczy 170 c. szerokości u dołu, 105 c. w górze, lewy zaś idący do tyłu jest 116 c. szeroki u dołu, 70 c. u góry. Brzeg górny opatrzony zaszewkami zastosowanemi podług figury aby leżał zupełnie gładko na biodrach, z tyłu zebrany w fałdy. Na przyszyciu do stanika, wokoło brzegów, przy kołnierzyku i mankietach dany sznur; guziki duże szmuklerskie granatowe z piaskowym.



N. 20. Wyszycie ściegiem luźnym do ryc. 19.

N. 4—5. Suknia z fałdowanym stanikiem, dla panienki lat 12—14.

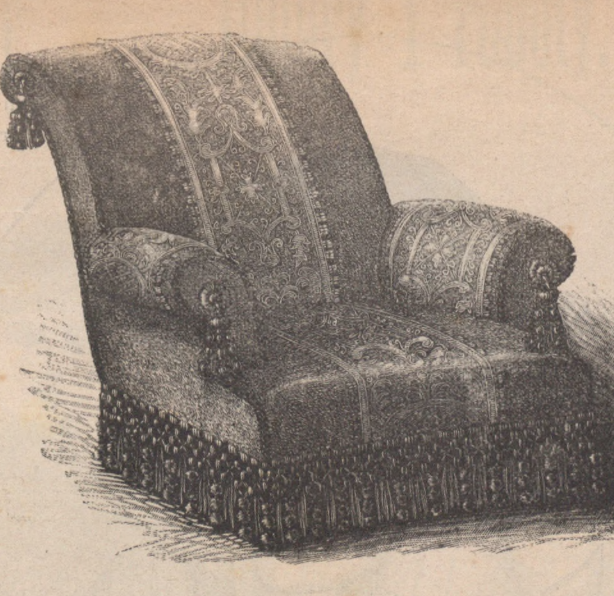
Odrobiona z materyału piaskowego *cotelé* ma żabot kamizelkowy i fantazyjne przewiązanie z brązowej popeliny jedwabnej. Podszewkę stanika dopasowywa się gładko i zapina środkiem na haftki, następnie układa żabot jedwabny z jednego brzegu przyszyty, drugim zachodzący na lewą połowę przodu; górna bufa tworzy się przez ścisłe zmarszczenie na środku pod szyją. Krając przody i plecy trzeba naddać materyału na fałdy widoczne na r. 4 i 5, na ramionach szersze u dołu zsunięte ściślej. Materyał zwierzchni pleców kraje się w jednym ciągu i na pierwsze boczki. Baskina zfałdowana z oddzielnego kawałka podszywa się brązowym fularem. Spódnica zwierzchnia krajana skośnie ma drugą podszewkową 170 c. szeroką i podszyta jest u dołu listwą 15 c. szeroką. Szarfa w kształcie trójkątnej chusteczki.



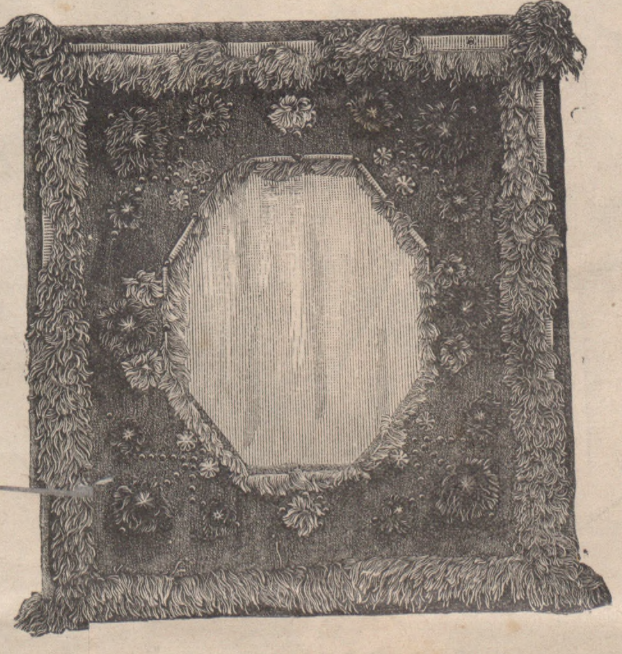
N. 22. Robota na drutach przewlekana plecionką jedwabną do ryc. 21.

N. 6. Kapelusz okrągły filcowy.

Przedstawia gustowne połączenie kamienno-popielatego koloru z żółtawo-białym (ivoire); fasonik z miękiego popielatego filcu ma okrągłą płaską główkę i rondo z przodu 14 z tyłu 12 c. szerokie, ozdobione zwierzchu 5 c. szerokim skosem jasnego filcu. Główkę otaczają dwa skosy aksamitu w podanych wyżej kolorach, związane z przodu w duży węzeł, z pod którego wysuwają się dwa skrzydełka cieniowane od brązowego do białego. Węzeł aksamitny



N. 15. Fotel z pasem wys?yv anym.



N. 16. Ramka pluszowa nabijana gwoździkami.



N. 18. Torebka na łyżwy.



N. 19.

N. 7—8. Pelerynka włóczkowa, robotą szydełkową.

Materyał: włóczka crevel; kawałek wstążki $2\frac{1}{2}$ c. szerokiej.

Robotę zaczyna się od góry przy wykroju szyi pod stojącym kołnierzykiem, na 194 o. ale wymiar zależy od figury; wszystkie rzędy idą w jedną stronę a nitki na początku i na końcu trzeba starannie zamocować. W 1 rzędzie: 4 o. pow., 1 sł. w pierwsze o. łańcuszka, 2 o. pow., 1 sł. w trzecie o., zrobiwszy tak 65 sł. przy ostatnim zrobić jeszcze 1 sł. 2 rząd: przeprowadzić nitkę przez 4 o. pow. 4 o. pow., 1 sł. między czterema o. i pierwszym sł., 1 o. pow. 1 sł. w następny słupek i przyrobić pomponik (związany z 50 nitek włóczki) w sposób wskazany na r. 8, przyciągając mocno to oczko w robocie. Dalej robić 1 o. pow., 2 sł. przedzielone 1 o. pow. i zajęte w następny sł., 1 o. pow. 1 sł. w następny sł., znów przyrobić pomponik i tak powtarzać póki nie ma 32 pomponików, na końcu rzędu 1 o. pow. i 2 sł. przedzielone 1 o. pow., zajęte między dwoma ostatniemi sł. 3 rząd: nitkę roboczą przewlec przez 4 o. pow., 4 o. pow., 1 sł. * 1 o. pow., 1 sł. prosty po nad pomponem, 1 o. pow., 2 sł. przedzielone 1 o. pow. zajęte między dwoma sł.—powtarzać od gwiazdki; na końcu znów 2 sł. przedzielone 1 o. pow. Takie dwa rzędy roboty z pomponami i bez nich powtarzają się nadal, z tą tylko zmianą że w dalszym ciągu dla potrzebnego rozszerzenia pelerynki powiększa się liczba słupków w grupach. To przybieranie zaczyna się w dziesiątym rzędzie dalej w 17 i 26. Rząd 32 jest ostatni z pomponami w 33 robią się gładkie ząbki zakończające pelerynkę. Przybieranie i rozszerzenie zależy od wzrostu i tuszy osoby dla której robi się pelerynkę i najlepiej ją przymierzyć. Kołnierzyk stojący składa się z rzędu potrójnych sł., przez który przewleka się wstążkę związaną w kokardę.



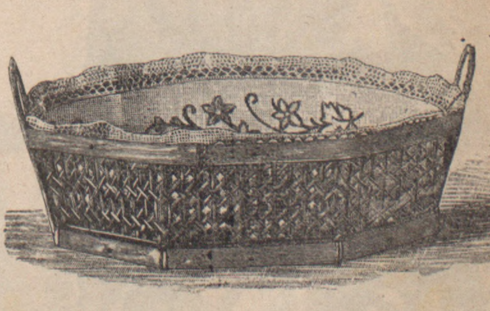
N. 21. Woreczek do tytoniu. Patrz ryc. 22.

N. 9—11. Przykrycie do framugi okna.

Dane z ponsowej flaneli lub bai, liczy 130 c. szerokości, 150 długości i ma górny wykład 40 c. szeroki, wyszywany kolorową włóczką hamburgską na oliwkowej kanwie Jawa. Rycina 11 daje deseń wyszycia a r. 10 wskazuje w naturalnej wielkości grubość kanwy i wyszycie ściegiem krzyżowym plecionym, znanym już czytelniczkom. Każdy kwadracik z dwóch nitek kanwy wzdłuż i wszerz równa się jednemu znaczkowi deseniu; gdzieniegdzie wypadają małe krótkie ściegi na zakończeniu lub na początku figur. Między wyszyciem pozostają kwadraciki kanwy nie pokryte, to dla lepszego uwydatnienia deseniu.

N. 12—14. Poduszka z wyszyciem renaissance.

Na tło pod takie wyszycie trzeba brać kanwę nie dzieloną w kratę, grubość i gęstość nitek musi być odpowiednia do włóczki hamburgskiej, użytej do wyszywania. Na każdy znaczek deseniu potrzeba dwóch ściegów, podług r. 13 zajmujących po cztery nitki kanwy wzdłuż a dwie nitki wszerz i dopełnionych malutkiemi ściegami. Zaczynając wyszycie najpierw daje się ścieg od ręki lewej ku prawej przez cztery nitki kanwy i wyciąga igłę z powrotem o dwie nitki ku lewej ręce, zajmuje igłę trochę skośnie (podług r. 13) przeciąga i daje maleńki ścieg przez jedną nitkę poprzeczną. Końcowy trzeci mały ścieg przybędzie przy wyszyciu drugiego rzędu ściegów. Na poduszce r. 12 wyszycie zajmowało 33 c. wzdłuż, 24 na wysokość i ujęte było w ramę pluszową $3\frac{1}{2}$ c. szeroką. Sznur gruby jedwabny zakończa brzegi i ułożony jest



N. 17. Koszyczek na bułeczki.

N. 15. Fotel z pasem wyszywanym.

Fotel cały wyściełany i kryty pluszem, ozdobiony jest szerokim wyszywanym pasem, powtórzonym i na bocznem wysłaniu. Na pas można zastosować haft, aplikacyę, wyszycie krzyżowe i t. p. wzory znajdą czytelniczki w N-rach Tygodnika lub na dawniejszych arkuszach dodatkowych. Przy pokryciu pluszowem można do aplikacyi użyć wełny i materyi do cieniu tego samego koloru.

N. 16. Ramka pluszowa nabijana gwoździkami.

Odpowiednia do fotografii albo do lusterka, wymaga podstawy dopasowanej z cienkiej deseczki, którą najlepiej dać introligatorowi do oklejenia pluszem. Przyozdobienie można dopełnić własnoręcznie, składa się ono z frendzli jedwabnej w dwóch cieniach i dwojakiej szerokości i gwoździków ozdobnych z rozmaitemi główkami.

N. 17. Koszyczek na bułeczki.

Zgrabny ośmiokątny koszyczek z japońskiej trzcinki, przeznaczony do bułeczek ma włożony wewnątrz rodzaj serwetki płóciennej, dopasowanej do kształtu denka i ścianek. Wyszycie najlepiej dać kolorową bawełną dobrą do prania; górny brzeg zakończa 2 c. szeroka niciana koronka lub brzeżek (trimming).

N. 18. Torebka na łyżwy.

Potrzeba na nią kawałek safianu czarnego lub mocnej ceraty, 30 c. szerokiego, 37 c. długiego, założonego w jednym końcu na klapkę i dwóch pasków 30 i 95 c. długich zapinanych na sprzączkę. Na zeszyciu boków dodane małe kliniki, ścięte spiczasto do dołu; wewnątrz przyszyte mocne taśmy po 35 c. długie któremi przez środek przywiązuje się łyżwy. Brzegi objęte listewką $2\frac{1}{2}$ c. szeroką; klapka zapina się na guziki i pentelki elastyczne. Zwierzchu można dać haft kolorowy a najlepiej monogram.



N. 23. Stanik krótki wycięty.

aksamitki oliwkowej i łososiowej. Pokrycie zwierzchnie 400 c. szerokie, dane z tiulu naszytego grelotkami z pereł. Stanik bawetowy jedwabny pokryty fałdowanym tiulem ma przybranie bretelkowe z aksamitki, takież kokardy i pasek.

Przepisy gospodarskie.

Paszteciki z ryby.

Oskrobać czysto rybę, przeznaczoną na paszteciki, opłukać, obrać z ości, pokrajać w kawałki, posolić i postawić najmniej na parę godzin, żeby nasoliała. Tymczasem wziąć sporo masła, rozpuścić, wrzucić w nie drobno usiekaną cebulę, domieszać drobno usiekaną rybę, popieprzyć i tak zmacerować: poczem usiekać wątróbkę z ryby, zmięszać razem z siekaniną przesmażoną w maśle, przesiekać powtórnie, dodawszy trochę tartej bułki, jedno żółtko, 2 jaja twardo ugotowane, i drobno usiekane, trochę cukru miałkiego, parę gorzkich i parę słodkich migdałów, miałko utłuczonych: to dobrze wymięszać, złożyć napowrót do rądelka, odgrzać jeszcze trochę na wolnym ogniu i przyszykowane paszteciki z ciasta francuzkiego, nakładać farszem tak urządzonym, w piec wstawić przed wydaniem.



N. 19—20. Torebka na bieliznę nocną.

Uszyta z wełny w paski białe i ponsowe i z ponsowego atłasu; wyszycie przedstawia w naturalnej wielkości r. 20, zużytkować tu można resztki kordonków, sznelki, bajorka i włóczek. Brzegi otacza sznur ponsowy, u dołu dane kolorowe pomponiki, górny wykład ma różek fantazyjnie odwinięty i przytrzymany trzema metalowemi guzikami.

N. 23. Stanik krótki wycięty,

Stanik gładki jedwabny, zachodzący pod pasek od sukni ma z przodu dodany plastron marszczony z kawałka białej jedwabnej krepy 50 c. szerokiego. Brzegi boczne zachodzą pod bretelki z wstążki związanej na ramionach w kokardy. Pasek z wstążki, 9 c. szerokiej; bufiaste rękawki zmarszczone z krepy wziętej podwójnie.

N. 24. Ubranie wizytowe.

Dla młodych osób bardzo są w użyciu karczki haftowane lub koronkowe, do których odpowiednie sztylpy zakończają rękawy. Rycina 24 przedstawia suknię z wełnianego muślinu crême w deseń z gałązek bzu. Podszewka stanika pokryta w górze materyą jedwabną lila na której dany karczek z cieniutkiego ażurowego haftu maszynowego; takież same zakończenie rękawów. Bluzkowe przody i plecy przemarszczone trzykrotnie w górze, przyszyte na karczku. Szeroka szarfa z materyi lila podłożonej wystającą z brzegów wstążką crême.

N. 25. Ubranie wieczorowe.

Spódnica jedwabna 245 c. szeroka, naszyta u dołu

